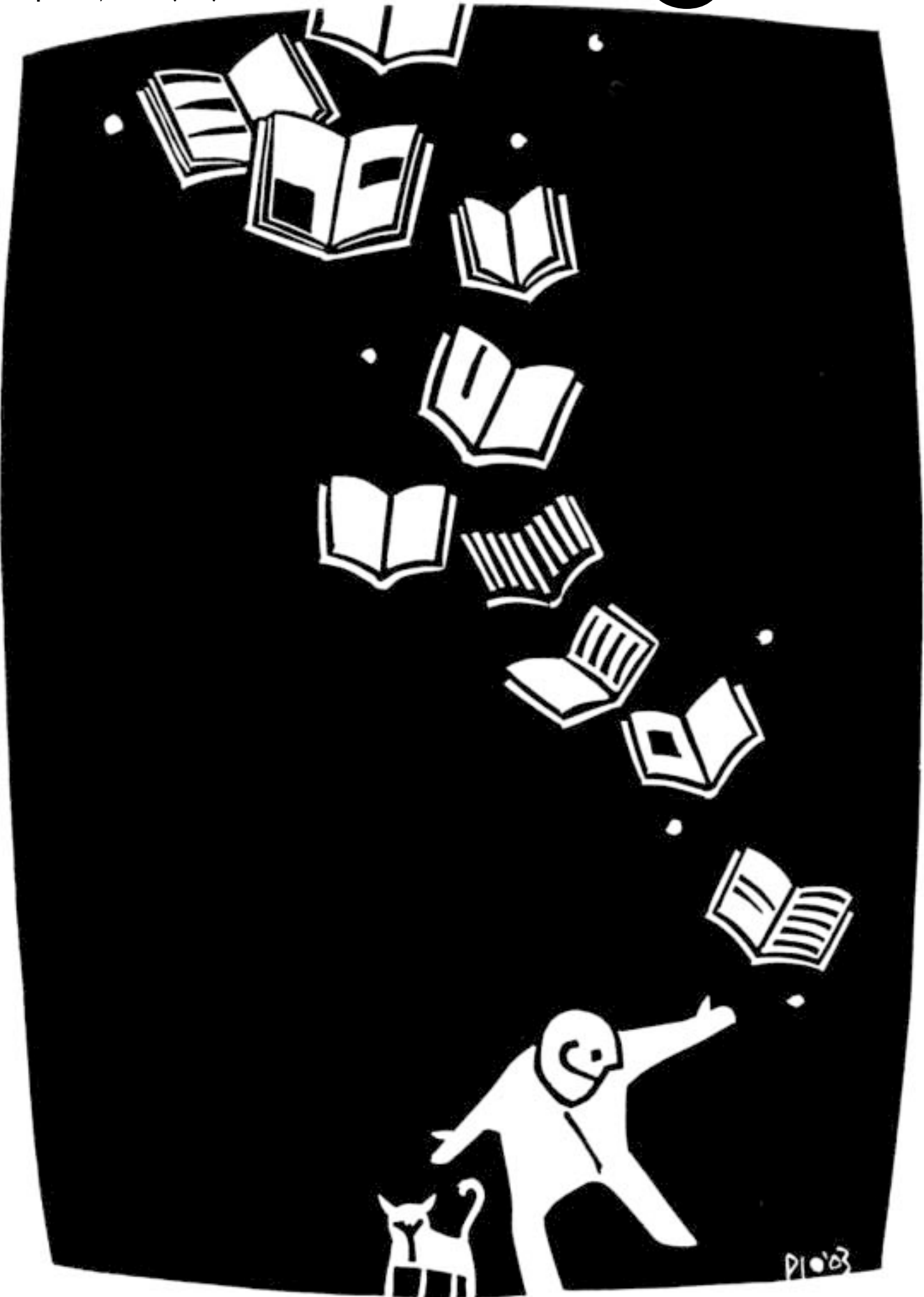


mrówkojad*

Kraków, Listopad 2006, Numer 2 (Rok 1)

Klub LOKATOR Magazyn

*Andrzej Rams, Joanna i Jan Gondowiczowie, Tomasz Majeran, Andrej Chadanowicz, Jiří Surivka, Petr Lysáček, Nikko&Gutta, Daniel Salontay...



grafika: Pió, 2003. Nieznośna lekkość bytu linoryt 10x15

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



mrówkojad*

[*]

Časopis Mravčiar – v tlačenej podobe; opatrne rozrežeš časopis na krajoch a pomaly sa pustíš do čítania. V tomto aj v nasledujúcich číslach nájdeš zápis toho, čo sa deje na jednom z viacerých miest, ktoré podaktorí od piatich rokov veľmi dobre poznajú, a ostatní by mali čoskoro odhalit.

Je to nosič pamäti, stretnutí, slov, vecí, priezvisk, myšlienok, projektov, mestských akcií, tvorivých dielní, výstav, upútaviek. Zaujímá nás nielen to, čo môžeš tu prečítať, ale aj to, o čom sa dozvieš, keď prídeš do čítárne, knižkupectva, kina, fotogalérie, pubu, kaviarne na Krakovskej 27.

Neprečítaš tu básne, recenzie cédečiek alebo kníh, to všetko, čo môžeš nájsť niekde inde. Budeme písať hlavne o tom, čo máme radi, čo nás znepokojuje, baví, a čo, kvôli chýbajúcim dlátam, štetcom alebo trúbam, by sme chceli premliet jazykovým mlynčekom. Budeme sa snažiť, aby o tom, čo sa páči a čo prekáža, tvorcovia rozprávali osobným spôsobom, ako im vyhovuje, krátkymi alebo dlhými vetami, vdychujúc alebo vydychujúc.

Budeme chcieť sa deliť nielen o to, čo naše, svojrázne, krakovské, čo je na dosah ruky, ale aj o to, čo je cudzie, zaujímavé, čo núti premýšľať alebo aspoň učiť sa jazyky. Preto tiež budeme pozývať dost veľa cudzincov, ktorí ako naši hostia budú mať možnosť preniknúť k širšiemu okruhu záujemcov.

Počítame s tým, že naša spolupráca niečo zmení, zblíži tých, ktorí sa potrebujú deliť s ostatnými o vlastné nápady. S tvorcami všetkého pôvodu (spisovateľmi, výtvarníkmi, fotografistami, grafikmi, hudobníkmi, performerami atď.) sa budeme stretávať počas našich ciest po Európe, ale aj ich častých návštev Krakova. Pri stolíku, buďto v reštauráčnom vagóne Wars, buďto v klube Lokator (Nájomník) alebo na inom mieste, oddáme sa nápadom, spomedzi ktorých väčšia časť, po dlhých nočných rozhovoroch, určite rozšíri register našich spomienok a posilní predstavivosť, zatiaľ čo zvyšok, dúfajme, pôjde do tlače.

Casopis Mravčiar vydáva spoločnosť Świat Przedstawiony (Zobrazený svet), je dostupný bezplatne vo vybraných kultúrnych inštitúciách v Krakove, v spriatelенých strediskách v Európe, ako aj na internete na stránke www.mrowkojad.pointblue.com.pl

[FR]

„Mrówkojad” (Le Fourmilier) – forme imprimée. Tu dissèques finement le bord du périodique et tu commences à le lire lentement. Tu trouveras dans ce numéro et dans les suivants, la légende de ce qui se passe dans un endroit de Cracovie, bien connu par les uns, restant à découvrir par les autres.

Les locataires ont changé leur lieu de rendez-vous, ils ont décidé de publier un mensuel, d'ouvrir une chronique annonçant ce qui les intéresse actuellement, ce qu'ils cherchent, où ils voyagent, qui ils rencontrent. „Mrówkojad” est un support de mémoire, de rencontres, de paroles, de choses, de noms, de pensées, de projets, d'actions citoyennes, d'ateliers, d'expositions, d'annonces. Nous ne sommes pas seulement intéressés par ce que tu peux lire ici mais aussi par ce que tu peux apprendre ou inculquer en entrant dans la salle de lecture – librairie, dans le cinéma, dans le pub, dans le théâtre (bientôt) du numéro 27 de la rue Krakowska.

Tu ne liras pas ici les poèmes, les comptes-rendu des derniers disques ou livres, tout ce que tu peux trouver ailleurs. Nous allons écrire essentiellement ce que nous aimons, ce qui nous irrite, ce qui nous amuse, et ce qui, faute de ciseau, de pinceau ou de trompette, passera par le passoire de la langue. Ce que les créateurs suivent ou ne suivent pas, nous voudrions qu'ils le racontent le mieux possible, par de longues ou de courtes phrases, en inspiration ou en expiration.

Nous voudrions y partager non seulement ce qui est nôtre, domestique, cracovien, ce qui est à la portée de notre main mais aussi ce qui est étranger, intéressant, inclinant à la réflexion ou à l'apprentissage des langues. Ainsi nous allons accueillir les invités au-delà des frontières, qui grâce au « Mrówkojad » auront la possibilité de rencontrer le groupe le plus large des gens.

Nous comptons que cette coopération change quelque chose, qu'elle rapproche ceux qui ont besoin de partager leurs idées. Ce sont les créateurs de toutes origines (écrivains, plasticiens, photographes, graphistes, musiciens, performers, etc.) que nous rencontrerons pendant nos nombreux voyages à travers l'Europe et lors de leurs visites à Cracovie. A table, à Wars, à Lokator ou dans un autre endroit, nous nous laisserons emporter par les idées dont la plupart, après les discussions nocturnes, entrera dans les archives de notre imagination, le reste, espérons-le, sera publié.

„Mrówkojad” publié par l'association „Świat Przedstawiony”, sera accessible gratuitement dans les centres culturels choisis à Cracovie, dans les centres spécialisés dans toute l'Europe, et aussi sur internet www.lokator.pointblue.com.pl

Lokator

[listopad 2006]

- 03.11.2006 (piątek), g. 20.00**
Dom Norymberski:
Tydzień Kina Niemieckiego - „Next Generation”
- 04.11.2006 (sobota), g. 20.00**
Koncert zespołu SUBLOKATOR
promocja najnowszej płyty „Trzecie Oko”
- 06.11.2006 (poniedziałek), g. 20.00**
MachinaFotografika:
FotoDebiut: Bogusław Kaczmarczyk
Metropolizm
- 06.11.2006 (poniedziałek), g. 19.00**
Czeskie Rozmowy: Film Czeski.
„Szaleni” reż. Jan Svankmajer
prelekcia: Tomasz Horava
przygotowanie: Iwona Lyko
- 08.11.2006 (środa), g. 19.00 [wstęp wolny]**
DKFLokator:
„Niezależni twórcy kina amerykańskiego”
Tod Solondz - „Witajcie w domu dla lalek”.
prelekcia: Marta Ambrosiewicz
- 08.11.2006 (środa), g. 19.00**
MachinaFotografika:
spotkanie z cyklu „Lekcje Czytania Fotografii”
lekcja III: Berkley` a
prowadzenie: Marta Miskowiec /MHF
- 09 - 12.11.2006 (czwartek - niedziela)**
Lokator w Norymberdze.
„Nowa Animacja i Nowa Fotografia z Krakowa.
Wyjazd na zaproszenie Domu Krakowskiego.
- 15.11.2006 (środa), g. 19.00 [wstęp wolny]**
DKFLokator:
„Niezależni twórcy kina amerykańskiego”
John Waters - „Beksa” (Cry-baby, 1990)
prelekcia: Marta Ambrosiewicz
- 16.11.2006 (czwartek), g.19.00 [zaproszenia]**
Klub Wina zaprasza:
Degustacja Wina - Beaujolais Nouveau 2006
- 22.11.2006 (środa), g. 19.00 [wstęp wolny]**
DKFLokator:
„Niezależni twórcy kina amerykańskiego”
Abel Ferrara - „Chinka” (China Girl, 1987)
prelekcia: Marta Ambrosiewicz
- 22.10.2006 (środa), g. 19.00**
Machina Fotografika zaprasza:
spotkanie z cyklu „Lekcje Czytania Fotografii”
lekcja IV: Gombricha
prowadzenie: Marta Miskowiec /MHF
- 23.11.2006 (czwartek), g. 20.00**
Festiwal Fotografii „Widzi się”:
Pofestiwalowa wystawa fotografii „Widzi się”
[wystawa otwarta do 3.01.2007]
- 27.11.2006 (poniedziałek), g. 19.00**
Czeskie rozmowy:
Spotkanie z Tomaszem Szczygłem
poprowadzi Igor Kędziński.
Sala kinowa: Pokaz filmu „Ucho”, g. 21.00
- 29.11.2006 (środa), g. 19.00 [wstęp wolny]**
DKFLokator:
„Niezależni twórcy kina amerykańskiego”
Robert Gordon - „To przybyło z głębin morza”, 1955
prelekcia: Marta Ambrosiewicz

*program może ulec zmianie.

WYDAWCA:
stowarzyszenie
„ŚWIAT PRZEDSTAWIONY”
KRAKÓW 2006
ul. Bobrowskiego 16/2



dla: KLUB LOKATOR
Kraków, ul. Krakowska 27
POLSKA

REDAKCJA:
Iga Noszczyk, PIOTR Kaliński,
Igor Kędziński, Kuba Mikurda,
Jacek Olczyk, Stanisław Kot.

WSPÓŁPRACA I TŁUMACZENIA:
Monika Kowalczyk, Cecile Claitte,
Sylvia Polak, Piotr Marecki,
Justyna Tomaska.

DZIAŁ FOTO:
Machina Fotografika - Biernacka/Makara,
Bogdan Kiwak, PIOTR Kaliński.

ILUSTRACJE:
PIO

KOMISJA REWIZyjNA:
Magda Podziwiewska

PROMOCJA:
klub LOKATOR
Kraków, ul. Krakowska 27
www.lokator.pointblue.com.pl
lokator@pointblue.com.pl

KONTAKT Z REDAKCJĄ:
mrowkojad@pointblue.com.pl

Miejsca gdzie grasuje Mrówkojad:
Kraków:
klub LOKATOR, ul. Krakowska 27,
Korporacja Halar, pl. Szczępański 3A
Nowy Sącz:
Cafe Prowiniczna, ul. Wąsowiczów
Stary Sącz:
Galeria pod Piłką, Stary Rynek 5
Praga:
Cafe Rehora Samsy, Václavské nám. 5
Norymberg:
Instytut Polski, Male nám. 1
Dom Krakowski, Hintere Insel Schütt 34
Zagrzeb:
KK Booksa, Maričeva 14d
Opawa:
Instytut tvůrčí fotografie, Bezručovo nám. 13

Wspólne miejsce Fotograficzne

Z Grażyną Makarą i Sylwią Biernacką rozmawia Justyna Tomska [Foto Narrativa]

Justyna: Ty, Grażka, pracujesz w Gazecie Wyborczej, a ty, Sylwia, jesteś wolnym strzelcem. Obie wybrałyście fotografię. Miałyście swoje wystawy, kilka zbiorowych. Postanowiłyście zrobić coś razem. W krakowskim Lokatorze otworzyłyście galerię Miejsce Fotograficzne Machina Fotografika.

Sylwia: Nie chciałyśmy tego nazywać galerią, ale i tak każdy tak to nazywa. To FotoMiejsce.

Grażka: Nie chcemy narzucać etykiety galerii. Chcemy, aby to miejsce było miejscem różnych akcji i spotkań fotograficznych. Nie chcemy, aby ludzie przychodzili, oglądali zdjęcia i koniec. Mają przeżyć jakieś „zdarzenie fotograficzne”. A galeria kojarzy mi się z chłodem i dystansem.

Sylwia: To się wiąże z samą przestrzenią miejsca, które jest bardzo nietypowe. Nie mamy jednego sposobu wieszania zdjęć. Do każdej wystawy dodatkowo aranżujemy całą przestrzeń. Na ścianach są białe kafelki. Nie ma popularnych świateł punktowych, tylko światło jarzeniowe, które wcale nie zakłamuje kolorystyki fotografii. Na środku stoi wanna. Wchodzi się przez okno. Jak ktoś wchodzi do środka, to nigdy nie zostaje niezauważony. Nawiązujemy kontakt z ludźmi. To miejsce ma być otwarte, bezpretensjonalne, ciepłe, spontaniczne. Promujemy międzyludzkie postawy, w życiu i w sztuce.

Grażka: Będziemy prowadzić cykliczne imprezy, na przykład fotodebiut. Chcemy pomagać debiutującym zaprezentować swoje prace, ale też pomagać przy debiucie nowych cykli fotograficznych. Jeden fotodebiut za nami, ale mamy zaplanowaną już następną imprezę: „Metropolizm”. Będzie to wystawa Bogusława Kaczmarczyka, fotografa, grafika, studenta Instytutu Twórczej Fotografii w Opawie (6 listopada).

Sylwia: Będą się u nas odbywać „Lekcje czytania fotografii”, a więc spotkania połączone z projekcją zdjęć, a także rozmowy na temat możliwości odczytywania obrazów fotograficznych. Prowadzić to będzie antropolożka kultury Marta Miskowicz z Muzeum Historii Fotografii w Krakowie. Jeszcze w tym roku odbędą się 4 lekcje. Lekcja czytania Magritte'a (25 października), Berkeley'a (8 listopada), lekcja czytania semiotyki (22 listopada) oraz lekcja czytania Gombrowicza w grudniu.

Sylwia: Grażka będzie pilotować projekt „Fotoreporterki”. Już mamy zaplanowany wernisaż oraz spotkanie z fotoreporterką Gazety Wyborczej Anną Bedyńską, absolwentką WSiF w Łodzi, laureatką wielu fotograficznych nagród m.in. Grand Press Foto

Grażka: Inny cykl spotkań będzie nosił tytuł: „Technika czyli pierwszy krok do magii”. Będą to regularne spotkania z techniką fotograficzną, czyli obróbka zdjęć, budowa aparatów, obiektywów, technika analogowa oraz cyfrowa.

Sylwia: Raz na kwartał będzie pokazywana fotografia ze świata w ramach cyklu „Światłoczuły globus”. Ale z takich miejsc, które rzadko u nas goszczą. Afryka, Rumunia, Bułgaria. Następnie, spotkania uczeń – mistrz. Uczeń zaprasza swojego mistrza. Regularnie będzie prezentowana, przy okazji imprezy „Czeskie rozmowy”, fotografia z Czech.

Grażka: Chcemy dużo rozmawiać o fotografii.

Justyna: To porozmawiamy o fotografii. Co w niej jest takiego, że zdecydowałyście się właśnie na nią?



Gutta&Nikko

Sylwia: W fotografii odpowiada mi ten specyficzny rodzaj skupienia i koncentracji. Poprzez fotografię poznaję innego obcego i siebie obcą i inną. Dlatego robię portrety. Z drugiej strony fascynuje mnie dokumentowanie rzeczywistości i inscenizowanie. Dlatego wybrałam dokument subiektywny. Bardzo ważny jest dla mnie moment przenikania się dwóch światów. Takie coś można znaleźć w pracach Ralpa Gibsona, który buduje nieoczywiste historie, łączy rzeczywistość z jakimś magicznym światem. Otwiera furtkę dla naszych fantazji i wyobrażeń na wielu poziomach.

A jeśli chodzi o ciągłość i natarczywie powracające postaci to ważna jest dla mnie także postać i twórczość francuskiej fotografi i reżyserki filmowej, Agnes Vardy, z jej autorskim osobistym stylem i niezależnością pracy.

Grażka: Dla mnie fotografia była i jest fascynująca, ponieważ pozwala dać upust emocjom, które są głęboko, zalegają... we mnie. Pamiętam dokładnie moment mojej świadomości fotograficznej, to było jak objawienie, zrozumiałam w jednej chwili, dlaczego niektóre zdjęcia są magiczne, a niektóre tylko rejestrują rzeczywistość.

Sylwia: To bardzo specyficzny rodzaj koncentracji i kontemplacji świata. I siebie oczywiście. Jesteś w pewnym nastroju i nie możesz zrobić niczego innego, jak wziąć aparat i fotografować. Wtedy odbiór rzeczywistości jest wyraźniejszy. I na dodatek masz czym to uchwycić.

Grażka: Zatrzymujesz obrazy, które w tobie siedzą. Portret najbardziej mnie pociąga i daje największego kopa. Wymaga, jak mówi Sylwia, tej niesamowitej koncentracji. Często fotografuję ludzi, których nie znam. I to jest dla mnie łamiący, gimnastyka umysłowa, żeby pokazać człowieka odrobinę takim, jakim on jest. Sylwia: Ja zaczęłam również świadomie portretować siebie, dokumentować swoje życie po śmierci mego taty... za wcześniej, nie w tym momencie, przed ważną rozmową... wcześniej wszystko siedziało w komputerze. To spotkanie z własną śmiertelnością i bólem dodało mi odwagi. Wcześniej wstydziłam się pokazywać autotypy. Na szczęście wstyd mnie nie przeżył. Pomogli mi w tym przyjaciele Agata Smajda i Piotr Jaxa, którzy powiedzieli, że to najlepsze zdjęcia, jakie zrobiłam, najsilniej naznaczone moim własnym stylem. Uwierzyłam im i sobie. To była sytuacja graniczna, a po jej przejściu wyszło nowe.

Grażka: Dużo wrażliwych fotografów przechodzi przez etap fotografowania siebie. Tylko u Sylwii jest to bardziej intensywne.

Sylwia: W pewnym sensie prościej jest fotografować innych. Oczywiście, na każdej fotografii jest odcisnięty twój punkt widzenia i widać twoją wrażliwość w każdej odbitce. Ale to nie to samo, co fotografować siebie. To wymaga odwagi i zmierzenia się z odbiorcą, który może być bardzo krytyczny, może bardziej w ciebie uderzyć. Najważniejszą rzeczą jest poznać samego siebie. Dzięki fotografii mogę dotrzeć do siebie. Grażka: Z jednej strony jest komfortem fotografować samą siebie. Bo znasz doskonale, że się tak wyrażę, materię, na której pracujesz. Eksperymentujesz w końcu na sobie. Potem oczywiście, musisz zmierzyć się z oceną.

Sylwia: Znam i nie znam materii, na której pracuję. Te autotypy nieraz zaskakiwały mnie samą. Stawiałam siebie w sytuacjach, które były bardzo intymne, na przykład wstawanie z łóżka. I tak jak pisze Barthes w „Świetle Obrazu” czasami w tych fotografiach pojawia się pewne specyficzne gwałtowne zaskoczenie i zdziwienie „To ja?”, „Czy to na pewno ja?”

Grażka: Ale trudniej przyjść do kogoś i jemu zrobić zdjęcie, gdy wstaje z łóżka.

Sylwia: Pracowałam i tak, i tak. Lubię ten moment wejścia do czyjegoś domu. Potem się okazuje, że ludzie bardzo szybko oswiają się i to mi daje przekonanie, że dobrze wybrałam zajęcie. Potrafię oswajać.

Grażka: Portretowanie to magia i tajemnica. Nie wystarczy dostosować się do pewnych reguł i zrobić technicznie poprawne zdjęcie, by pokazać prawdę o człowieku. Musi zaistnieć pewna relacja, wymiana, bo inaczej to tylko maska, pierwsza skóra. Przy dobrej energii płynącej z obydwu stron - jest do uchwycenia. To się zdarza. Naprawdę. Miałam kiedyś do sfotografowania pana z prosektoarium, szalenie mądry i skromny człowiek. To mój ulubiony portret. Kiedy zobaczyłam jego głębokie, niebieskie oczy... wiedziałam, że nie może to być zwykłe zdjęcie... Długo się przyglądam.

Gdy już zaczynam widzieć to, co chcę, to często staję się bezlitosna. Wyciskam siódme poty z ludzi, których fotografuję. Bardzo ważne jest, aby utrzymać emocje na wysokim poziomie. To jest jak misterium. Ostatnio wracam do zdjęć Diany Arbus. Byłam w Londynie na jej retrospektywnej wystawie Revelation. Siła oddziaływania jej fotografii jest porażająca. Szukała autentyczności, postrzegala człowieka takim, jakim jest on naprawdę. Fotografowała ludzi, od których uciekamy lub nie chcemy widzieć, niepełnosprawnych, zdeformowanych, dziwolągów. Była kronikarką osobliwości. Cały czas to mną targa.

Sylwia: A ja z kolei inaczej fotografuję. To nie jest podkręcanie tylko bycie. Rozmawiamy sobie i w pewnym momencie robię zdjęcie. Nie podbijam atmosfery. Ale zgadzam się, że ważne jest złapanie dobrego kontaktu.

***Grażyna Makara: publikuje w prasie polskiej i zagranicznej, jest fotoreporterką Gazety Wyborczej i Agencji Gazeta. Nagrody: Nagroda Marszałka województwa Małopolskiego w konkursie Portret Miasta Krakowa, kwiecień 2004. Nominacja do nagrody Grand Press Foto 2005 i 2006. Brała udział w licznych wystawach zbiorowych fotoreporterów Gazety Wyborczej w Krakowie.**

***Sylwia Biernacka: Absolwentka Kulturoznawstwa, Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Studentka Instytutu Twórczej Fotografii w Opawie. Uczestniczka wystaw krajowych i zagranicznych min: "Miś w tramwaju linii nr 15", Festiwal Art. — e — strada, Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. 2003, Kraków. Klub Nieudaczników Polskich, 2003. Berlin Miesiąc Fotografii w Krakowie, 2003. Festiwal Fotografii w Łodzi. Fabryka Obrazu, 2004**

* Andrzej Rams - Absolwent Akademii Pedagogicznej w Krakowie na Wydziale Nauk Społecznych oraz Otwartego Studium Fotografii na Wydziale Historii Architektury Odnowy i Konserwacji Zabytków Politechniki Krakowskiej w pracowni Z. Łagockiego Współorganizator i jeden z pomysłodawców oraz Dyrektor Artystyczny Festiwalu Fotografii „Widzi Sie” w Starym i Nowym Sączu. Wiceprezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego DOM. Fotografik. Zajmuje się fotografią dokumentalną, użytkową oraz artystyczną. Wystawy indywidualne oraz zbiorowe: Kraków, Lublin, Grybów, Nowy Sącz, Stary Sącz.

foto: Sylwia NIKKO Biernacka, Stary Sącz 2006



Lubię też kichać...

Zakończyła się trzecia edycja festiwalu nowej fotografii w Starym i Nowym Sączu, z Anrzejem Ramsem współorganizatorem festiwalu rozmawia Justyna Tomska [Foto Narrativa]

Justyna Tomska: Widziałam twoje *Okolice Ciała* na wystawie podczas III edycji festiwalu *Widzi się* w Starym Sączu. Przystawiłeś obiektyw do rzeczywistości tak blisko, jak swoje oko malarz, którego lubię, Rothko. Tak blisko, że ma się wrażenie pewnej granicy światów. Obydwaj też posługujecie się powtórzeniem. Śnią ci się pomysły na zdjęcia?

Andrzej Rams: Bardzo podoba mi się porównywanie fotografii do malarstwa. Dla wielu jest to nie do przyjęcia. Będę się jednak upierał, że obie dziedziny żyją bardzo blisko i często z siebie czerpią.

W wieku szkolnym byłem zafascynowany surrealizmem. Dalí, Bunuel... wpatrywałem się, czytałem, słuchałem. Odkryłem w filmach Bunuela brak jakichkolwiek granic w tworzeniu historii. To samo dotyczyło Dalego i jego obrazów. Pokazali mi, że istnieje wiele rzeczywistości, które, po nałożeniu na siebie, mogą dawać efekt nieprzewidywalny, z wielką dozą metafizyki.

Mówię o tym dlatego, że obaj poniekąd czerpali ze snów. Moje sny są dość skomplikowane. Hmm... faktycznie składają się z obrazów, które nakładają się na siebie i najlepiej byłoby nakręcić jakiś film. Kto wie, może kiedyś? Wspomnę jeszcze o Kurosawie i jego "Snach"- właśnie najbardziej takie lubię. Zdarzają się również sny bardzo osobiste, te precyzyjnie zapisuję w mojej pamięci, bo nie mają zwyczaju się powtarzać. Są krótkie, ale bogate w treści. Łatwe do pokazania i w przyszłości pewnie jakieś szczątki tych obrazowrażeń przeniosę na papier.

Jak powstają twoje fotografie?

Moje fotografie często powstają pod wpływem chwili.

Sprawia mi trudność zorganizowana praca polegająca na realizacji jakiegoś projektu, nazwijmy to artystycznego. Są pewne chwile, zdarzenia, obrazy rzeczywistości, które wprost prowokują, aby coś z nimi zrobić. Zinterpretować i poddać obróbce wyobraźni.

Okolice Ciała to niedawno zaczęty cykl. Sam projekt nadal jest w fazie rozwojowej. Jest to taki mały eksperyment, forma dyskusji z odbiorcą, może leciutka prowokacja...? Zawsze zastanawiałem się nad tym, jak fotografować ciało, aby było całkowicie niedopowiedziane. Myślę, że w przyszłym roku osiągnę zamierzony efekt. A teraz rozmawiam sobie z obserwatorami i z lekkim uśmiechem planuję, jakby tu zagmatwać jeszcze bardziej sprawę. I właśnie mniej więcej o to chodzi w tych pracach. W dużej części mojej fotografii forma staje się ważniejsza od treści. Lubię zabawę z obrazem. Natomiast nie lubię dorabiania ideologii. Nie lubię oszukiwać. Lubię zadawać pytania.

A dlaczego wybrałeś ciało?

Ciało w moim cyklu ma wymiar bezosobowy. Samo jest nieistotne. Prace mają być na granicy, ciało - nie ciało. Gdzie jest granica? Gdzie prawda, a gdzie fałsz? A może to już nie jest ciało? Na tych zdjęciach tak niewiele widać naszego ciała, a tak wiele można o nim mówić. I ciągle będzie to niedopowiedzenie... A poza tym uważam, że ciało jest czymś najbardziej estetycznym, co Bóg nam dał na ziemi. Ma w sobie coś z ideału, prawda?

Styki przedmiotów są zawsze wciągające... bo można powiedzieć, że na takim styku powstaje całkiem nowa jakość... niebo styka się z ziemią,

dwie rzeczy, ale ty już nie patrzysz na to jak na zetknięcie nieba z ziemią, tylko widzisz horyzont, zupełnie coś nowego, istniejącego osobno, mającego nowe znaczenie. Weźmy linię pomiędzy udem a ręką, którą może sfotografowałeś lub być może całkiem coś innego... czy udo i ręka należą do jednej osoby czy do dwóch? I właśnie ta linia w „twoich” ciałach działa najbardziej, gra, porusza coś w środku.

Linia styku prowadzi do nikąd! Cel nie może być znany. Gdybyśmy znali cel, moglibyśmy poznać historię. Gdybyśmy poznali historię, nie byłoby tajemnicy. A jeśli nie byłoby tajemnicy, to nie czułbym sensu tego, co robię. Całe sedno w tajemnicy. Niech każdy zbuduje sobie własną historię. Bardzo podoba mi się pewne stwierdzenie Bunuela. W jednym z jego filmów, w ostatniej scenie, główna bohaterka traci przytomność po otwarciu małego pudełka. W tym momencie film się kończy! Na pytania typu ; „jaka była zawartość tego pudełka” Bunuel odpowiadał: „sam chciałbym się dowiedzieć”.

Kiedyś byłam na wykładzie Schmita, który powiedział, że fotograf jest jak pianista. Pianista nigdy nie zagra dobrze, jeśli jest spięty, gdy nosi w sobie jakiś problem lub jest zmuszany do grania. To wszystko wyjdzie w klawiszach. I tak samo z fotografem. Inaczej naciska się spust aparatu, gdy ma się rozluźnione palce, a inaczej, gdy spięte. Trudne to fotografowanie. Gorzej niż z pisanie. Bo jak pisarz zły, to sobie siądzie przy biurku, przeleje żółć na papier i już mu lepiej.

Tak, z pewnością sytuacja życiowa i stan ducha wpły-

wają na efekt pracy. Wpływają na sam pomysł bardziej niż na jego realizację! Pytanie, czy to dobrze, czy źle? Raczej dobrze! Nie zgadzam się zatem z Panem Schmittem. Weźmy na przykład muzykę. Czy Mozart napisałby Requiem z takim efektem, jaki znamy? Albo z innej beczki, czy Bono wraz z U2 stworzyliby „Sunday Bloody Sunday”? Nie!!! To samo jest w fotografii. Jestem przekonany, że pewien stan psychiczny prowokuje do tworenia. Podczas realizacji spięcie może przeszkadzać, ale należy pamiętać, że fotografia jest bardzo techniczną dziedziną i wymaga posiadania pewnych niezbędnych umiejętności manualnych, znajomości podstawowych praw fizyki, chemii oraz informatyki. Jeśli sobie to uświadomimy, spięcie czy inna niedogodność psychofizyczna będzie po prostu przeszkodą. Efekt taki sam jak jazda samochodem. Myślę o kimś i trach! Przejeżdżam na czerwonym świetle... Lepiej nie jechać, drogę mamy zaplanowaną, znamy cel, więc zatrzymajmy się na kawę. W tym czasie nie zapomnimy drogi, którą sobie wcześniej zaplanowaliśmy.

A co ostatnio zrobiło na tobie wrażenie w fotografii?

Ostatnio nic. Z klasyków Anselm Adams. Jako chłopiec chodziłem po górach i fascynował mnie krajobraz. Adams zrobił zaledwie kilka zdjęć Tatrom. I te zdjęcia są niesamowite. Zawsze chciałem mu dorównać, w tym niedopowiadaniu do końca, w tej ilości metafizyki w jego zdjęciach.

Zatem zacząłeś swoje życie z fotografią od Anselma Adamsa?

Zaczynałem od śrubkologii. Jako mały chłopiec interesowałem się techniką. To zainteresowanie doprowadziło mnie do fotografii. Coś z tego pozostało, pewien sentyment do marki, pewna iskra w oku, gdy mam w ręku starą Leicę albo znalezione na strychu czarno-białe retuszowane fotografie. Bardzo lubię to magiczne miejsce, jakim jest ciemnia. Niestety, niewiele czasu ostatnio tam spędzam. Zawsze powtarzam sobie, że w przyszłym roku to już na pewno kupię nowy obiektyw do powiększalnika itp, itp. A następnie idę do sklepu i kupuję nową kartę graficzną do komputera... I w którymś momencie narodziła się świadomość, że tak naprawdę fotografia jest idealnym środkiem wyrażania siebie. Ten środek bardziej mi odpowiadał niż nasza mowa ojczysta. Teraz jest okres tak zwanej świadomości czynu. Oby jak najdłużej trwał. Nauczyłem się świadomie posługiwać techniką fotografii. Ale podkreślam tutaj stanowczo, że to nie znaczy to samo, co doskonale opanowanie tej techniki! Ja uczę się cały czas. I to mi sprawia przyjemność.

W okresie świadomości nastąpił etap, w którym lekko zahaczam o sztukę. Dlaczego tylko lekko? A no dlatego, że fotografowanie nadal jest dla mnie zabawą i niezwykłą frajdą. Były różne etapy mojego twórczego wykorzystania fotografii. W tej chwili jestem związany z teatrem i dużo fotografuję na koncertach, ostatnio muzyki klasycznej. Wciąża mnie niezwykła atmosfera połączona z miejscem i wysiłkiem osób, które fotografują. Staram się uchwycić coś ulotnego, tę duszę koncertu czy spektaklu, która po zapaleniu świateł gdzieś umyka bezpowrotnie. To jest taki pościg za czymś, czego nie widać, a istnieje.

Co oprócz fotografii???

Jest parę zainteresowań, na które wciąż brakuje czasu. Parę niezrealizowanych planów, które czekają i czekają na swoją dobrą chwilę. I wielu ludzi, których uwielbiam poznawać. Teatr, muzyka, kino. Podoba mi się życie:) Lubię smakować poranek dnia. ...i lubię spać. Aha!!! Zapomniałbym o winie, owocach oraz serach, bosych stopach na mokrej trawie i zapachu mgły na Polanie Chochołowskiej. Lubię też kichać... Dziwne? Prawda? Może nie wypada, ale to takie przyjemne!!! Ostatnio rzadko się zdarza.



foto: Bogdan Kiwak, Nowy Sącz 2005

Monika Kowalczyk

Widzi się... po raz trzeci

Fotografia to nie tylko najpopularniejsze hobby w Polsce, gdzie każdy ma aparat cyfrowy, choćby w telefonie komórkowym. Gdy aparat fotograficzny staje się narzędziem w ręku artysty, robienie zdjęć staje się prawdziwą sztuką. Festiwal Fotografii „Widzi się” powstał po to, by upowszechnić wiedzę o fotografii jako dziedzinie sztuki.

Na pomysł wpadli trzej młodzi sędzcy fotograficy - Andrzej Naćsiszewski, Andrzej Rams i Bogdan Kiwak. Chcieli w Nowym i Starym Sączu stworzyć przestrzeń do prezentacji fotografii artystycznej i forum dla ludzi dzielących ich pasję. Tak powstał festiwal „Widzi się”. Wydarzenie artystyczne, które połączyło dwa Sącze i zainteresowało środowisko polskich fotografików. Ilu autorów, tyle punktów widzenia świata. Stąd wziął się tytuł festiwalu - „Widzi się”. Z nim z kolei wiąże się dobór prac - od malarskich zdjęć Zygmunta Stenwaka czy Adama Olejniczaka, przez prace z pogranicza grafiki komputerowej i fotografii autorstwa Roberta Kleemanna, po fotografię zbliżoną do reportażu, dokumentalną, organiczną, eksperymentalną, wreszcie portretową.

Impreza w zamiarze autorów projektu miała przekształcić się w festiwal fotografii i być przedsięwzięciem cyklicznym. Tak też się stało.

Oficjalne otwarcie I Festiwalu Fotografii w Starym Sączu miało miejsce 21 września 2004 roku. Pierwszą akcją był happening fotografii otworkowej - photo::dron - wspólny projekt trójki autorów Nacher/Kiwak/Styczyński połączony z koncertem „The Magic Carpathians Project”. W pierwszej edycji festiwalu zaprezentowali swoją twórczość także Andrzej Naćsiszewski - pracę dyplomową „Dzień świąteczny” i Andrzej Rams - cykl fotografii „Ut musica picture”.

II Edycja Festiwalu „Widzi się” (2005 r.) odbyła się już z większym rozmachem. Były nie tylko wystawy, ale i spotkania z fotografikami, wykłady i pokazy multimedialne. Swoje prace zaprezentowali fotograficy, którzy mają na koncie uznany w Polsce i za granicą dorobek artystyczny. Wśród artystów, którzy odpowiedzieli na zaproszenie byli: Adam Olejniczak, Piotr Kaliński, Jacek Grzelak, Paweł Kula, Radosław Kurnicki, Robert Kleeman, Norbert Roztocky.

Dzięki zabiegom organizatorów tegoroczna - III edycja Festiwalu „Widzi się” zyskała wsparcie Ministerstwa Kultury i Sztuki, a także patronów medialnych takich portal fotograficzny „Fotopolis”, „Biuletyn Fotograficzny”, „Pozytyw” oraz „Mrówkojad. Od początku imprezie patronuje „Dziennik Polski”. Informację o „Widzi się” umieścił na swojej stronie Związek Polskich Artystów Fotografików.

Autorzy, którym zależy na upowszechnianiu uprawianej przez nich sztuki chętnie wystawiają swoje prace. W tegorocznej edycji festiwalu bierze udział już kilkunastu artystów fotografików z Polski m.in.: Rafał Latoşek, autor rewelacyjnych portretów polskich aktorów i Weronika Łodzińska oraz Andrzej Kramarz z Krakowa ze swoim projektem „1,62 m². domu” - zdjęciami wykonanymi w noclegowni dla bezdomnych w Nowej Hucie. Po raz pierwszy swoje prace wystawili również fotograficy z zagranicy - Słowak Robo Blasko i Giorgio Savino, Włoch mieszkający w USA. Nowością są cieszące się dużym powodzeniem warsztaty fotograficzne prowadzone przez Bogdana Kiwaka i Andrzeja Ramsa.

Miejscem, w którym odbywają się główne imprezy festiwalu jest od samego początku „Galeria pod piątką” Miejsko Gminnego Ośrodka Kultury w Starym Sączu, która staje się przystanią dla artystycznej fotografii.

Ze względu na coraz większą skalę imprezy wystawy odbywają się nie tylko w Starym ale i w Nowym Sączu w Galerii MBWA „Pod Jagiełłą”, w „Galerii Teatralnej” Miejskiego Ośrodka Kultury w Nowym Sączu oraz w MCK „Sokół” i w Sądeckiej Bibliotece Publicznej. Włączają się również dwie kawiarnie starsądeckie: „Winne grono” i „Marysieńka” oraz „Prowincjonalna” z Nowego Sącza.

Festiwal to nie tylko wystawy, artyści wychodzą do ludzi organizując akcje artystyczne i happeningi. Zapraszają na wykłady i pokazy, podczas których zdradzają swój warsztat. Tegoroczną festiwalową nowością była noc filmowa Krzysztofa Kieślowskiego z filmami „Przypadek” i „Biały” w nowosądeckim kinie „Sokół” - przykład bliskiego pokrewieństwa między sztuką fotografowania a filmem.



Żubr literatury białowieskiej

Z Andrejem Chadanowiczem rozmawia Piotr Marecki

Piotr Marecki: W jednym z wywiadów z Tobą znajduję takie oto zdanie: „Ludzie z Zachodu mogą nam z jednej strony współczuć, ale z drugiej strony mogą nam szczerze zazdrościć. Powiem dlaczego: przez taką politykę kulturalną Białorusi autor, artysta, muzyk pozostał na Białorusi w dużym stopniu tym, czym był twórcą w dziewiętnastym wieku w Europie, włodarzem myśli: Byron i bajronizm, moda na Puszkina, Mickiewicza i Słowackiego jako wieszczowie. U nas od współczesnego autora po dawnemu oczekuje się odpowiedzi na fundamentalne pytania: jak postępować w danej sytuacji. Ja czuję się po trochu kaznodzieją, naukowcem, filozofem-futurystą, który zagląda w przyszłość, po dawnemu formuje narodową tożsamość, robię to, co robili parę setek lat temu pisarze na zachód od Białorusi.” Padły tutaj wielkie, największe, słowa...

Andrej Chadanowicz: Tak, ale z tego wywiadu – jak to zwykle bywa – zniknęła druga część. Gdy mówisz o czymś ambiwaletnie, znika druga część. Ja mówiłem coś takiego: białoruski literat ma szczęście, ponieważ jest wypychany na margines, mieszka w państwie kłamstwa itd., a więc wiele rzeczy robi, by tak powiedzieć, za darmo. Pisarz obdarzony jest kredytem zaufania, jednak na Białorusi dziesięciu na dziesięciu pisarzy zawodzi to zaufanie. To jedna część prawdy. A druga część jest taka, że kiedy dostajesz – za darmo – nie pięciuro, nie pięćdziesięciuro, ale pięciust czytelników, to zawsze pojawia się taka pokusa, by mówić nie to, co

chcesz, ale to, czego oni od Ciebie oczekują. I gdy patrzy się na sytuację pisarza z tej strony, to przestaje być on wieszczem, a okazuje się jakimś *showmanem* czy prestigitatorem, tylko że w swoim *show* operuje poważnymi rzeczami: narodowymi sloganami, na przykład, i w ten sposób popularyzuje to, co trudno popularyzować we współczesnej Białorusi na inny sposób. Być może mamy to, na co zasługujemy.

Jednak mówiłeś o wpływie poezji na kształtowanie tożsamości narodowej; Paweł Huelle we wstępie do Twojej książki *Święta Nowego Rocku* powiada: „Bardzo mnie poruszyło to co [Chadanowicz] powiedział: żadnych nie było w tym lamentów, czy politycznych gier, ale podstawowa (i bliska mi osobiście) prawda: Poeta jest stróżem słowa, ogrodnikiem języka. Jego miejsce we wspólnocie wyznaczone jest rzetelnością jego rzemiosła, sztuki którą wykonuje.”

Tak, ale widzimy to, co chcemy zobaczyć. Mam kasetę z nagraniem tej telewizyjnej wypowiedzi, którą Huelle tu „cytuje”. Nie mówiłem tam nic o ogrodnictwie. Paweł Huelle to wielki pisarz, a wielki pisarz zawsze musi coś wymyślić. Tutaj wymyślił za mnie tę wypowiedź. A na tym właśnie polega cała rzecz, że nie chcę być postrzegany jak ktoś, kto potrafi powiedzieć cokolwiek na temat ogrodników języka. Chcę powiedzieć to samo, ale w inny sposób, bo ludzie na Białorusi już są zmęczeni i znudzeni taką retoryką. Chcę powiedzieć to samo, co powiedział Huelle, ale w jakiś inny,

bardziej człowieczy sposób, tak, żeby to gdzieś zahaczyło, żeby zaczepiło kogoś. Bo u nas właśnie tacy ogrodnicy języka rymują gazetowe hasła, rymują je z powodzeniem, z sukcesem. Ale, tak naprawdę, młodzi Białorusini mają tego dość, szukają czegoś innego. Te poszukiwania nowego języka widać na przykład w retoryce, jaką posługują się w wypowiedziach publikowanych w internecie.

W swoich esejach piszesz o istotnej różnicy w przyjmowaniu poezji na Białorusi i w innych krajach. Czy możesz coś o tym bliżej opowiedzieć?

Tak, akurat dzisiaj uczestniczyłem w spotkaniu odbywającym się w ramach Targów Książki, więc opowiem o dwóch różnych doświadczeniach. Jakiś czas temu prezentowałem moją ostatnią książkę w Mińsku, w tamtejszym domu Związku Literatów. Sala była przygotowana na jakieś pięćset osób, więc przyszło ich – jak to u nas zawsze bywa – nie pięćset, tylko siedemset; po spotkaniu książkę kupiło około dwustu osób. A potem, dzisiaj, miałem spotkanie na targach krakowskich. Pod koniec spotkania było jakieś dziesięć osób, dwie z nich kupiły książki. Ale i tak byłem bardzo, bardzo szczęśliwy, ponieważ na początku spotkania były tylko dwie osoby, dwie dziewczyny, z których jedna popatrzyła na mnie i poszła sobie. Przy czym powiedziała: „Nie jestem kompetentna w sprawach białoruskich.”. Tak więc porównanie jest jednoznaczne. Ale to i tak duży sukces... przecież ta druga dziewczyna została.

Pozwól mi zacytować fragment z Twojego eseju *Sprzedawcy powietrza*: „Dzisiejszy poeta może być postmodernistą albo może nim nie być, może intensywnie nawiązywać do twórczości poprzedników, a może starannie udawać naiwność [...], może wywoływać – albo nie – komiczny efekt swoimi słowami, ale sama jego poezja po prostu nie może być pozbawiona żywiołu gry, wyrazistości, zapamiętywalności dobrego sloganu reklamowego. Znam młodego poetę, który za główne kryterium prawdziwej liryki uważa dobrą zapamiętywalność, natychmiastowe zapadanie w pamięć – i doskonale go rozumiem. Nie zdolasz dobrze zabrzmieć w kiepskiej akustyce, nie dasz się zapamiętać od pierwszego usłyszenia – drugiej okazji może nie być.” Twoje wiersze są właśnie przykładem pisania takiego, które ma zostać wygłoszone, które ma zabrzmieć przed tymi wspomnianymi pięciuset osobami zgromadzonymi na spotkaniu. To pewnie tylko jeden z celów, ale świetnie sobie z nim radzisz.

Tak, to nie jedyny cel. Wydaje mi się, że w białoruskiej literaturze brakuje niektórych rzeczy robionych jednocześnie: wyżyn intelektualnych z jednej strony, ale i towarzyszącej im jakiejś takiej popowej kokieterii. Z jednej strony potrzebne są limeryki, które bawią ludzi – takie rzeczy lubię pisać, z drugiej – by sięgnąć tych intelektualnych wyżyn – zajmuję się tłumaczeniem: Pounda, Mallarmego, Miłosza, Herberta i tak dalej. A co do akustyki... słowa, które zacytowałeś, napisałem po pewnym spotkaniu, na którym miałem czytać wiersze i śpiewać piosenki. Dostaliśmy zgodę na wynajem sali, ale potem zadziało tak zwane „prawo telefoniczne”, które – w tym wypadku – głosiło „pod jakimkolwiek pozorem – odmówić”. Odebrano nam salę, więc zorganizowaliśmy spotkanie obok klubu, na zewnątrz, w deszczu; mam zdjęcia, na których widać, jak wali ulewa, a ludzie jednak stoją i słuchają. Nie było mikrofonów, trudno też mówić tu o akustyce... Po tym wszystkim musiałem oddać gitarę do naprawy, a akordeonu, na którym grał mój kolega, już w ogóle nie udało się uratować. Teraz sala Związku Literatów jest już dla wielu kompletnie niedostępna, więc będzie więcej takich problemów, takich sytuacji. Pojawiają się też wciąż nowe miejsca, do których nie wpuszcza się pisarzy bez wcześniejszych uzgodnień z władzą, jak do sal bibliotecznych czy uniwersyteckich. Nikt nie mówi o tym oficjalnie, ale wszyscy wiedzą, że istnieje taka czarna lista osób zakazanych, ze mną włącznie, którym spotkań się nie organizuje. Tylko młodszy ode mnie koleś mają jeszcze ten luksus; ale to tylko dlatego, że – ponieważ młodzi – nie są jeszcze władzy znani.

HARRY POTER, LICEALISTA

Wpadłem na złośliwych trolle na polskiej granicy i zaliczyłem małe nieporozumienie z wampirem w barze w Mińsku, poza tym wszystko poszło gładko...
J. K. Rowling, *Harry Potter i Zakon Feniksa*

Harry Potter, prymus z tajnego liceum, zwycięzca olimpiad z białoczerwono-białych guseł, znów wyrusza szukać panaceum: smoczego zęba czy ducha dla odrętwiałych?

Bo z gazet wąż stroszy goblin z setką żytniej, w powietrzu nad granicą kraczą wronie chórki, przesyłki zza morza konfiskują sprytnie celnicy-trolle z orkami z Maryjnej Górki;

bo daleki szlak i reklam koszt przeraża, mentorzy i sympatie robią w show-businessie, bo czerwono-zielony czar przeważa, zaś ziola są w eksport zębów, a nie w lesie;

bo magiczną różdżką dziś jest pręt gumowy, na wskroś przemokły brody terrorystów-dżinów, bo inne szkoły nie uczą ptasiej mowy, a w lotników na miotłach walą z karabinów;

głosy przyjaciół brzmią z każdym dniem ofiarniej i coraz trudniej nie mieć całkiem w tym udziale pijąc piwo bezprocentowe w kawiarni i słuchając nudziarzy z wrogiego wydziału...

Wciska korek w szyjkę i rusza spacerem z koktajlem ognistym dokąd nogi poniosą. Znowu zwycięży, bo jest Harrym Potterem, wybawcą dużych dzieci i małych dorosłych.

(przełożył Jan Maksymiuk)

Po co używać Harry'ego Pottera – ikony popkultury – by opowiedzieć o wydarzeniu politycznym?

W tym momencie, gdy nasze władze rozwiązały Białoruskie Liceum, w którym byłem nauczycielem, moi uczniowie stali i pikietowali okoliczne ulice. Chciałem coś zrobić, jakoś zareagować, ale zależało mi na tym, by nie był to plakat czy gazeta. Wtedy moja przyjaciółka, Maryjka Martysiewicz, podrzuciła mi ten fragment z piątego tomu powieści Rowling – ten o Mińsku, Białorusi i Polsce – i chwyciłem się tego fragmentu jako pretekstu dla wiersza. Zwłaszcza, że Harry Potter to nie jest literatura najwyższych lotów. A z rzeczywistością jest tak samo chyba, jak z literaturą: mamy taką, na jaką zasługujemy.

Przypomniało mi się, a *propos* zębów, która pojawia się w tym wierszu: dzisiaj widziałem afisz do mojego spotkania na Targach Książki. Było tam napisane: Andrzej Chodanowicz, który prezentuje serię „literatura białowieska”. Wtedy poczułem się jak żubr białowieskiej literatury i teraz tak właśnie będę wszystkim się przedstawiać i rekomendować.

A wracając do Rowling... zamknięcie Białoruskiego Liceum to była sytuacja, której nie mogłem przemilczeć; a jednocześnie chciałem to zrobić w jakiś nietradycyjny sposób. Jeden ze złośliwych krytyków powiedział, że tym wierszem zrobiłem coś przeciwnego do tego, co marka Marlboro zrobiła z wolnością. Hasło wolności zostało przez nich spekulatywnie przerobione na *brand* – markę. A ja zrobiłem coś odwrotnego; tak, jakbym wziął markę Marlboro i za jej pomocą próbował sprzedać wolność. Krytyk chciał być złośliwy, ale mi bardzo przyjemnie było przeczytać taką opinię.

Porozmawiajmy szerzej o nowej literaturze, jako że – właściwie – są dwie literatury białoruskie. Jedna to ta stara, „kolchoźnicza” czy socrealistyczna, teraz przemieniona w utwory patriotyczne, obfitujące w obrazy chat i strzech; i jest ta druga, w której Ty działasz, którą w jakimś stopniu kreujesz. Jak te dwie literatury współistnieją – uzupełniają się czy raczej wykluczają?

Wydaje mi się, że pomiędzy tymi dwiema literaturami nie ma żadnej wyraźnej granicy. Niedawno byłem na Słowacji, gdzie z trudem znalazłem tłumacza dla moich wierszy. To stary człowiek, który mieszka gdzieś na wsi. Podczas zorganizowanego na Słowacji spotkania ja czytałem oryginały, a pewien znany słowacki aktor czytał owe przekłady. Zauważyłem, że tam, gdzie ja mówię po prostu „daleko”, on czyta „za górami, za lasami”. Przerobiono mnie, po prostu, na poetę od strychów i bocianów. Niby wszystko w porządku, ale przecież poezja opiera się na takich właśnie niuansach. Znam, co prawda, kilku twórców białoruskiej literatury, którzy ze strychów i bocianów potrafią zrobić rzeczy genialne; tylko, że tego nie da się przetłumaczyć. Myślę, że i Ukraińcy mają takich wspaniałych – w pew-

nym stopniu rustykalnych – poetów; jednak w tłumaczeniu są oni zupełnie „niekompatybilni” i dlatego na Zachodzie często postrzegają się ich jako grafomanów, nie wyczuwając świadomej stylizacji czy gry z językiem. A wracając do pytania... tak naprawdę, to tych literatur jest znacznie więcej niż dwie. Jeszcze kilka lat temu uważałem Związek Literatów za coś bardzo anachronicznego czy post-sowieckiego. A dzisiaj mamy już dwa związki literatów: jeden (pro-Lukaszenkowski) nazywa się Związek Pisarzy Białorusi, drugi (opozycyjny) to Związek Białoruskich Pisarzy. Choć nazwy podobne, są to dwa, zupełnie różne, związki. I w takiej sytuacji mam coraz więcej uznania dla ludzi, których jeszcze wczoraj byłbym skłonny uważać za grafomanów. Ludzie, którzy dotychczas pozostawali poza wszelkimi Związkami, teraz dołączają do tej opozycyjnej organizacji. To wszystko nie poddaje się łatwym definicjom. Teraz, pod pewnym względem, literaci białoruscy mają idealną sytuację. Nie dostają już żadnych budynków, pomieszczeń ani dotacji; jeżeli chcą coś zrobić, sami muszą znaleźć na to pieniądze i całą resztę. Ta wymuszona samodzielność mobilizuje ich, jest dla nich szansą na to, by „przerobić się” według europejskich standardów. Ale skończmy już, bo od literatów mówiących o polityce, śmieszniejsi są chyba tylko politycy, mówiący o literaturze...

Tekst jest zapisem fragmentów spotkania, które odbyło się 22.10.2006. w Lokatorze w ramach projektu Homines Urbani.



www.lokator.pnibib.com.pl

HOMINES URBANI
zapraszają:

Wybór fragmentów i redakcja tekstu: Iga Noszczyk

ANDREJ CHADANOWICZ (ur. 1973): białoruski poeta, tłumacz, eseista. Autor książek *Stare wiersze (2003)*, *Listy spod kołdry (2004)*, *Rodaki albo Białoruskie limeryki (2005)*, *From Belarus with love (2005)* *Święta Nowego Rocku (2006)*. Tłumaczy z angielskiego, francuskiego, polskiego, rosyjskiego, ukraińskiego. Wykłada literaturę w Białoruskim Państwowym Uniwersytecie, jest kierownikiem pracowni przekładu przy Białoruskim Kolegium w Mińsku. Członek białoruskiego PEN-Club. **Wiersze Chadanowicza były tłumaczone na angielski, litewski, niemiecki, polski i ukraiński. Obecnie przebywa w Krakowie w ramach projektu Homines Urbani organizowanego przez Willę Decjusza.**



Ubu Król wraca do Polski!

Z Joanną i Janem Gondowiczami rozmawia Jacek Olczyk

Ubu Król: Panie i Panowie, szanowne draństwo, zarzynamy przedstawienie „Król Ubu wraca do Polski”. W rolach grównych wyskapią: splanwny rumański kretyk, Jan Gondowicz, oraz grównie splanwny albański teokratyk Jacek Olczyk, ściemniariusz i reżyseria Piotr Kaliński.

Jacek Olczyk: Jakie okoliczności doprowadziły do założenia Wydawnictwa Małe?

Jan Gondowicz: Zanim padnie jakakolwiek odpowiedź, muszę wyjaśnić coś, co będzie jednocześnie w pewnej mierze wyjaśnieniem. Jacku, wstawajmy! Za zasługi dla ubizmu wszechświatowego odznaczam się tym oto ostatnim ubistycznym orderem!*

Wszyscy: grrówno!!!

Jacek Olczyk: Słyszałem że jest kilka wersji powstania wydawnictwa, zacznijmy od którejś z nich.

Jan Gondowicz: Tak więc, na początek skrócona wersja liryczna: być może nie uda się nam nic naprawdę wydać, ale pięć korekt będzie!!! W czwórkę, ja z Joasią, oraz z Agnieszką Taborską, specjalistką od historii surrealizmu i Marcinem Giżyckim, historykiem filmu awangardowego, założyliśmy małą firmkę na dosyć zwariowanych zasadach, nie mając wcale sprecyzowanej wizji, co będzie wydawane, ale wydawało nam się, że pół świata jest do wydania. Warunek był jeden: żeby to było fajne, żeby działało nam to na wyobraźnię.

Jacek Olczyk: Według jakiego klucza byli dobierani autorzy?

Jan Gondowicz: Ależ od siebie zaczęliśmy, to chyba

zupelnie oczywiście. Każde z nas miało, jak nas siedziała czwórka, ze dwie książki gotowe w szufladzie, których w żaden sposób nie można było wepchnąć do istniejących firm, ponieważ, była to ta faza, że sprzedawały się albo Ludlumi, albo zaległe wydawnictwa emigracyjne bądź podziemne, które właśnie się ujawniały albo też inne rzeczy. Akcja toczy się przede jedenastoma laty: Wydawnictwo Małe zaistniało publicznie w grudniu 1995 roku, co później okazało się jednym z idiotyzmów, ponieważ już istnieliśmy i musieliśmy od masy towarowej zapłacić podatek. Nie zakładajcie wydawnictw w grudniu!!! Na wszystkie pytania, które Jacek chciałby mi tutaj zadać, odpowiedziliśmy sobie na piśmie jedenaście lat temu i spłodziliśmy z żoną, patafizyczny podział wydawnictw istniejących, aby przekonać się, gdzie my właściwie figurujemy na mapie. Wyszło mi, że tych wydawnictw jako gatunków zoologicznych jest dwanaście (...) Wariat. „Wydaje zbiór elegii patagońskich i czeka, aż to się sprzeda, bo ma już w tece madrygały japońskie. Po każdej tej książce pada na pysk. Bierze pożyczki i nadgodziny po czym uszczęśliwia świat czymś, bez czego w jego mniemaniu ów świat byłoby zdecydowanie uboższy. Świat obojętny na te karesy podąża swoją drogą, lecz wariat wciąż wydaje, póki go nie zamkną. Zaślepiiony swą wizją odrzuca książki, na których mógłby zarobić, bo nie pasują mu do profilu. Obca mu jest też sztuka wysysania dotacji. Jego księga główna cierpi na księgosusz. On sam na wrzody i kołatanie serca, lecz wciąż wydaje, bo gdyby przestał straciłby zarobek, którego upatruje

w naprodukowanych tytułach. Połowę nakładu rozdaje, bo chce udowodnić, że wciąż jeszcze działa. To jego książki ładne choć skromne, odkładasz, drogi czytelniku, na inną okazję, która nie nastąpi nigdy”. Wicie już państwo jakiego rodzaju było Wydawnictwo Małe. **Jacek Olczyk: Joasia Gondowicz jest autorką wszystkich okładek 37 książek, które Wydawnictwo Małe wydało w przeciągu...**

Jan Gondowicz: ... pięć i pół roku. Wspaniały to efekt, ale zajęło nam to kawał życia.

Jacek Olczyk: Czy możesz powiedzieć coś więcej o autorach, których wydawaliście?

Jan Gondowicz: Autorzy dzielą się na trzy grupy: Pierwsza grupa to klasyk. Albowiem podzielię się tu z wami tajemnicą zawodową, która zresztą mi nic nie pomogła, ale to się sprawdza: dobry autor to martwy autor. Z żywym są zawsze kłopoty, z umową, z procentami. . .

Jacek Olczyk: ...i to taki, który najlepiej nie żyje od 70 lat...

Jan Gondowicz: ... ależ naturalnie. Ale oczywiście najważniejszy i najlepszy z wszystkich martwych autorów, którzy są jeszcze żywi jest Albert Jarry, ale na niego wpadłem niestety stosunkowo późno. Drugi rodzaj autorów, to są autorzy-debiutanci, i jeżeli potrafi się skanalizować energię takiego debiutanta, który po prostu pędzi po Polsce zygakiem ze swoją książką w garści, to jak wiadomo, można wyjść na swoje, jeżeli osoba ma jeszcze dajmy na to talent, co się czasami zdarza, to nawet nie trzeba specjalnie chować się w kapuście i można się pokazywać publicznie z tą książką.

Trzecim rodzaj to są niestety współcześni autorzy mający dorobek i tych radziłbym się wystrzegać absolutnie, absolutnie. Z nimi żaden wydawca początkujący, a zwłaszcza drobny, nie wygra.

Jacek Olczyk: Dlaczego po tych pięciu i pół roku wydawnictwo zawiesiło działalność?

Jan Gondowicz: No więc, Jacku, tak już jest, że ja na te wszystkie pytania odpowiedziałem, kiedy zaczęło się rysować widmo rzeczywistości, z którą dotąd nie mieliśmy specjalnie do czynienia. Ja jestem krytykiem literackim, więc w ogóle nie mam do czynienia z rzeczywistością, tylko z fantazy. Joanna już bardziej, bo np. potrafi składać w ołowiu, na linotypie i ręcznie w wierszowniku. No więc potrafi zważyć każde słowo, a potem przeliczyć je na gotówkę. (śmiech) No i to jest jakaś miara, także z naszej czwórki ster szybko przeszedł w jej ręce i tylko dzięki temu ta kotłownina tak długo trwała. (...) I tutaj powiem od razu, że nigdy byśmy się za to nie wzięli, gdyby nie to, że były pewne wzorce zagraniczne, emigracyjne, które nam się okrutnie podobały. Na przykład wydawnictwo Gaberbocbus, Franciszki i Stefana Themersonów, które istniało przez lat prawie czterdzieści, w Londynie, pod mostem Waterloo, w arkadach. Składało ręcznie, niesłychanie starannie swoje niskonakładowe książki i tak dorobiło się coś około 90 tytułów, z czego 60 to są książki prawdziwe, czyli liczące powyżej jednego arkusza. No i książki, które przeszły oczywiście do historii polskiej sztuki wydawniczej, ponieważ każde z nich jest osobnym arcydziełem.

Głos z sali (Wawrzyniec Brzozowski): nie tylko polskiej.

Jan Gondowicz: Bardzo chętnie przyjmuję to zastrzeżenie, ale nie wiedziałem – kiedy się zachwycę tym wydawnictwem i jego produktami, przeważnie wielkoformatowymi, takimi zeszytami folio – jednej prostej rzeczy: że kiedy Themersonowie to robili to skrupulatnie i każdy swój nowy tytuł wysyłali do Times Literary Supplement, to natychmiast każda nie rozpakowana paczka, jak tylko przeczytali adres zwrotny, lądowała w kuble na śmieci. Ponieważ było wiadomo, że jest to wydawnictwo wariackie. Działające pod prąd, pod włos, a nawet jeszcze gorzej, bo w poprzek, bo nie trzymało się żadnego sensownego kryterium, w których prawdziwym świecie interesów wydawniczych się liczy. Drugim wydawnictwem, które mi się tak szalenie podobało, było wydawnictwo Bednarczyków, które obsługiwało w znacznej mierze autorów emigracyjnych, ale również tłumaczenie obejmowały całe spektrum literatury europejskiej i amerykańskiej, wydawali przekłady poetyckie, prozę. Chociaż to wydawnictwo nie miało debitu, w Polsce właściwie nie było ścigane, podobnie jak jego czasopismo. Niestety nie wiedziałem o jednej podstawowej rzeczy, którą dopiero później mi wyjaśniono, pokazując opublikowany w bardzo wężym nakładzie, chyba stu egzemplarzy, drugi tom wspomnień Bednarczyka. Mianowicie Wydawnictwo Oficyna Poetów i Malarzy utrzymywało się tylko dzięki temu, że mniej więcej po pół roku swego działania świadczyło usługi wydawnicze, produkując pewne pismo dla panów o specjalnych zainteresowaniach. Była to rzecz bardzo ostro karalna w Zjednoczonym Królestwie i gdyby się wydała, to pewnie Bednarczykowie i ich kolporterzy wylądowaliby na długo w więzieniu, ale się nigdy nie wydała. I z tego interesu niejawnego dokładano do polskiego emigracyjnego pisma, które w pewnym momencie, tak od 1964 do 1974 było naprawdą czołowym wydawnictwem awangardowej literatury na emigracji.

Jacek Olczyk: To przykre, że mimo wydawania tak ambitnej literatury, wydawnictwo, jak Małe, jest zmuszone do tego, aby przestało działać.

Joanna Gondowicz: W Polsce nie ma niestety czegoś takiego, jak np. w Stanach, gdzie jest mnóstwo fundacji czy uniwersytetów, które za punkt honoru mają utrzymywanie takich wydawnictw, non profit, nie zarobkujących. W Polsce jest tak, że małe wydawnictwo nie ma możliwości dostania dofinansowania. Wszystkie te książki były wydawane w całości za nasze pieniądze, kiedy każde z nas sporo zarabowało a wydawnictwo było tylko takim dodatkiem. Później nam się zachciało wydawać coraz więcej książek, więc musieliśmy z mnóstwa rzeczy zrezygnować i to było jakby początkiem końca. Większość naszych książek nie miała z założenia przynosić pieniędzy, miały trafiać do jakich wysmakowanych czytelników, a część była sprzedawana w galeriach.

Jan Gondowicz: Ja sobie pozwalam dodać, że nasza oferta była skierowana do pewnej specjalnej publiczności, co do której byłem przekonany, że ona istnieje, tymczasem ona po prostu nie istniała. I kiedy dowiedzieliśmy się po raz pierwszy, drugi i trzeci z ust rozmaitych zaprzyjaźnionych kierowniczek znakomitych księgarń na trakcie królewskim w Warszawie, że nasi potencjalni klienci biorą książkę do ręki i mówią „eee, to jakieś dziwne”... i jak najszybciej odkładają, I nie potrafiłem tego zrozumieć, bo w czasach młodości, czyli na przełomie lat 60. i 70. każda książka ekscentryczna, zresztą wszystko co dziwne, nietypowe, z dziurą, było natychmiast łapane, porywane i w krzakach, prawda, z satysfakcją... (śmiech). Nastąpiła przemiana, powiedzmy, gustów publicznych, z którą zderzyliśmy się jak ze szklanymi drzwiami, niesłychanie energicznie. Okazało się, że literatura niesłychanie bogata, w znacznej mierze nieznana polskiemu czytelnikowi, skupiona na fantastyce, nie humorystycznej czy naukowej, ale zbliżonej do propozycji surrealistycznej, szeroko pojętej, z różnych czasów, w ogóle, jak to mówiono w XIX wieku, nie znajduje odbytu. Ludzie tego nie chcą, tak się nam przynajmniej wydawało. Być może gdybyśmy umieli odpowiednio zareklamować książkę, to by to wyglądało inaczej. Próbowaliśmy wszystkiego, urządzaliśmy imprezy na dwieście trzysta osób, licząc że się rozejdzie po Warszawie szeptanka, ale szeptanka się nie rozchodziła.

Jacek Olczyk: Jakich rad moglibyście udzielić, po tych doświadczeniach, młodym, powstającym wydawnictwom.

Jan Gondowicz: Ależ nie zakładajcie wydawnictw!!!

Joanna Gondowicz: Ale nie prawda, ja uważam, że to jest bardzo fajna zabawa i za każdą zabawę trzeba jakoś tam płacić, a tutaj robiliśmy coś, co sprawiało nam przyjemność i części naszym znajomym.

Jan: Pierwsza z moich licznych rad jest taka: wydawajcie tylko siebie! Jeżeli się okaże, że jesteście Grocholą, Olgą Tokarczuk albo i Zytą Rudzką, to się okaże, żeście wygrali los na loterii, bo nie opłacacie się pośrednikowi.

Jacek Olczyk: Uprawialiście również alternatywne formy dystrybucji, czyli plecaki na plecach i heja do księgarni warszawskich. Czy to się sprawdzało?

Jan Gondowicz: W kawiarniach się sprawdzało, chociaż pamiętam jeszcze doskonale ten smak sznurka czy taśmy wpijającej się w rękę, no i przerzucanie paczek. Nakład dwa tysiące, to jest prawie tona papieru, która trzeba najpierw do mieszkania wnieść a potem po kawałku znosić. Ale metoda dystrybucji obnośnej absolutnie nie sprawdza się przy próbie ściągnięcia należności. Niech pan przyjdzie w poniedziałek, niech

pan przyjdzie po pierwszym, niech pan przyjdzie po wakacjach...

Głos z sali (Piotr Kaliński): Kogo można obecnie zaprosić, wydać i zrobić w Krakowie podobną imprezę do tej na tysiąc osób z 1995 roku, kiedy zaprosiliście Rolanda Topora?

Jan Gondowicz: Ja myślę, że wiele jest w Polsce autorów, którzy gdyby tylko się dowiedzieli, że się ich w Polsce wystawia, to tylko by się ucieszyli. I są to ludzie wcale nie gorsi, jeśli chodzi o spiczastość dowcipu, tylko, że kto na to przyjdzie, jeśli nazwisko jest nieznane? I to był nasz wielki kłopot, że kilkakrotnie wydawaliśmy autorów kompletnie nieznanymi, którzy nie budzili żadnego zainteresowania, ponieważ właśnie w tym okresie, kiedy działaliśmy, wywiązała się ta stadność życia już nie intelektualnego, bo to zanikło, tylko kulturalnego. A mianowicie, że trzeba czytać to, co wszyscy, podobnie jak trzeba wyglądać jak wszyscy, zachowywać się jak wszyscy, myśleć jak wszyscy i tak dalej. Nagle poczuliśmy się może nie tymi cholernymi mamutami, bo niewygodnie, ale tymi sakami z triasu, takimi małymi, co im się pętały tym wszystkim dinozaurom pod nogami i musimy czekać aż walnie znów jakiś meteor, żeby móc porządnie wyrosnąć.

***Statut Orderu Wielkiej Kałduli**

Artykuł pierwszy

Wszelki kandydat do godności członka Zakonu Wilkiej Kałduli zyskać musi rekomendację czterech innych, dysponować mózgiem wagi co najmniej trzydziestu gramów i dwójgiem lub więcej oczu, a także przedłożyć dowód, iż na każde żądanie zdolny będzie okazać co najmniej trzysta włosów, jak też czterdzieści pięć (która to liczba w przypadku kobiet płci żeńskiej może ulec znacznej redukcji) włosów z brody na każdym pultasie.

Artykuł drugi

Podanie do kapituły Orderu wnosić należy w formie pisemnej na papierze zielonym, w kopercie żółtej, lecz mimo to ofrankowanej na kwotę pięćdziesięciu centymów. Zachowywać się należy powściągliwie, mając w perspektywie bankiet na cztery nakrycia, sumptem tychże pięćdziesięciu centymów i tyłuż franków.

Artykuł trzeci

Pozostałe walory fizyczne i moralne wykazać należy waźniactwem minimalnym wedle oceny Wielkich Mistrzów Zakonu - w sidłach zbrojnych, palestrze, sferach artystycznych, duchowych, kupańskich, arystokratycznych bądź przestępczych.

Artykuł czwarty

Insigniów Orderu nie używa się bez zezwolenia, udzielonego przez Wielkich Mistrzów, z wyłączeniem wszystkich innych.

Artykuł piąty

Order posiada następujące klasy: Ojców Ubu bądź Wielkich Mistrzów; syna 1; syna 2; syna 3; syna 4; wnuka.

„Teatr Ojca Ubu”, Alfred Jarry
Tłumaczenie Jan Gondowicz
Wydawnictwo CIS i Wydawnictwo Małe
Warszawa 2006





Dwanaście gitar i jedna wymarzona

Z Danielem Salontayem liderem grupy Longital/Dlhe Diely [SK] rozmawia Piotr Kaliński

Pierwsza gitara w twoim życiu?

Pierwszą gitarę kupiłem za dwieście koron i poprosiłem mojego kolegę żeby mi ją nastroił. Potem zostałem z nią sam na trzy tygodnie i uczyłem się akordów i pierwszych melodii. Jestem samoukiem. Później wymieniłem moją gitarę na „Gibsonkę akustyczną” u pewnego Cygana ale żałowałem tej zamiany, moja gitara znała wszystkie akordy których się nauczyłem.

Druga, znaczy gorsza?

Nle, potem miałem jeszcze kilka innych gitar, na każdej uczyłem się grać coś nowego. Każda gitara była inna od poprzedniej. Postanowiłem wtedy niepozbywać się więcej gitar i wszystkie zachowuje. Każda zna inne melodie i inaczej się na niej gra.

Gitara numer trzy?

„Ibanez Joe Satriani” kupiona w 1992 roku za 16 tysięcy szilingów. To jest moja najdroższa gitara i najdłużej na niej gram. Jak ją kupowałem wiedziałem że napewno długo na niej pogram, minęło już 14 i wciąż gra jak nowa.

Czwarta?

Asat GL kupiona w Wiedniu. To jest ostatnia fabrycznie nowa gitara jaką kupiłem. Od tamtej pory nie kupuję nowych gitar gdyż granie na nich jest strasznie ciężkie. Każda gitara jest jak młody koń, trzeba ją nauczyć wszystkiego od początku i oswoić. Nowe gitary nie mają tego charakteru co stare, używane instrumenty.

Piąta?

Jolana ALfa to była stara gitara która stała zniszczona w studio nagrań u mojego znajomego. Kupiłem ją od niego za 50 złotych. Naprawiłem, wstawiłem zamiast kobyłki kamień z rzeki co nadało jej specyficzny dźwięk. A ona za to że jej nie wyzucili teraz dla mnie pięknie gra. Zamiast kostki gram na niej płaskim kamieniem z Triestu to połączenie daje miększe brzmienie podobne do elektrycznego Sitera. Nagraliśmy na niej piosenkę „Dziecko ma wszystko”.

„Migma”

To jest najzaciejsza z moich gitar, pochodzi z 1965 roku z tego samego w którym się urodziłem. Ma

w środku naklejkę Frank Peter Ditrich zakładu w którym została zrobiona w mieście Erlbach w Niemczech. Odnalazłem kiedyś adres tej firmy i sędziwego pana który przyznał że wykonał tylko kilka modeli tej gitary pomiędzy 65 a 68 rokiem. Ta gitara ma taką samą budowę jak wiolącele i z takich samych materiałów jest wykonana. Należał do mojego znajomego. Powiedziałem mu wtedy że jeśli kiedyś będzie chciał sprzedać tą gitarę powiem mu że jest głupi a potem zapłacę mu ile będzie chciał. I tak się stało kilka lat później. Jak pojechałem do Stanów do szkoły ludzie pytali ze zdziwieniem czy sam ją wykonałem? Ta gitara ma bardzo dobry charakter, jest bardzo krucha i delikatna. Na tej gitarze też graliśmy w Lokatorze pierwszy koncert Dlhe Diely w 2003 roku. Teraz już jej nie worzę bo się o nią boję ale ona pamięta dużo moich piosenek.

Siódma

„Kremona” ma podobne pochodzenie jak poprzednia gitara, też jest tak stara jak ja i została wykonana w małym miasteczku Luby przy granicy Czesko-niemieckiej,

niecałe dziesięć kilometrów od zakładu w Erlbach w którym powstała Migma. To są dwie podobne do siebie gitary zbudowane z takiego samego drewna z jaworu i świerku. Bardzo długo na niej nie grałem. Wiąże się z nią taka dziwna historia. Kilka lat temu dwa razy podczas miesiąca przychodził do nas mój znajomy i zawsze kiedy przekraczał próg domu od tej gitary odklejał się gryf a normalnie zdarza się to bardzo rzadko. Od tego czasu bałem się z nim spotykać :)

Ósma?

Rezonacyjna gitara, jedyna akustyczna gitara jaką mam, kupiłem ją w 2000 roku żeby móc zagrać na festiwalu DOBROFEST w Trnawie. Jest to festiwal na którym gra się tylko na tego rodzaju gitarach gdyż w tego miasta pochodził człowiek który ją wymyślił. Ma ona specjalny wbudowany rezonator nadający specjalne brzmienie często wykorzystywane w muzyce country.

Dziewiąta.

Jolana to była moja druga elektryczna gitara pomalowana w takie apstrakcyjne ciapki przez mojego przyjaciela. Niegrałem już na niej kilka lat. Kupiłem ją jeszcze przed Ibanezem który był dziesięć razy od niej droższy ale wcale nie dziesięć razy lepszy. Ona ma swój specyficzny charakter, nie zagra się na niej wszystkiego tak jak na ibaniezie ale może właśnie za to ją lubię.

Lutnia arabska.

Jeden mój znajomy zmienił swoje skrzypce za Oud i potem przyszedł do mnie i powiedział że muszę go od niego kupić bo ja przynajmniej będę wieział co z nim zrobić. Niechciałem kupować ale zapłaciłem mu 100 złotych. Oud to jest bezprogowa jedynastostunowa lutnia arabska. Jest bardzo lekka i krucha. Przez dwa lata uczyłem się ją trzymać zanim nauczyłem się na niej grać. Miałem szczęście bo mój brat był wtedy w Izraelu i poprosił go żeby kupił mi do niej nowe struny bo na słowacji nikt takich nie sprzedawał. Gram na niej czasami rano ona ma swoje niepowtarzalne brzmienie i wprawia w medytacyjny nastrój.

Jedynasta.

To barytonowa gitara nastrojona o kwinte niżej, stara czeska gitara z lat 50 tych. Skonstruowana jest jak bas gitara ale gdy ją kupowałem zmieniłem jej struny od zwykłej gitary i ma taki swój „killer sound” :) Jolana Pedro to są takie unikatki które ma tylko kilku ludzi na słowacji. Na nowej płycie nagrywamy naniej jedną piosenkę „Cesta ako zrkadlo”, posłuchajcie usłyszycie!!!

Dwunasta, ostatnia?

Aria (czerwona), to najnowsza moja gitara, kupiła mi ją Sina od takiego faceta co ją przywiózł z Londynu, ona była wtedy zupełnie nowa i niegrała zbyt dobrze i była bardzo podobna do mojej wymarzonej gitary. Po roku koncertów rozgrała się i już się dobrze rozumiemy. Ona jest super bo trzyma nastrojenie, jest wytrzymała i można z nią podružować i nic się jej nie stanie. Kilka miesięcy temu miałem sen. Śnił mi się biały wielki tygrys który umierał i powiedział do mnie że daje mi swoją siłę. Od tamtego czasu mam taką nalepkę z białym tygrysem na niej i zawsze podczas koncertów dodaje mi sił.

Wymarzona?

Pomarańczowy Gretsch Nashville Tiger Maple :) ale to będzie moja ostatnia gitara. Jest taka sama jaką mam ale dziesięć razy droższa! To jest taki roseye roseye wśród gitar.

pisal: PIOTR Kaliński, Bratysława - sierpień 2006
LONGITAL zagra w klubie LOKATOR,
2.12.2006, g. 20.00. wstęp WOLNY

Biography

www.longital.sk

East beats with spectral and soulful electronics, watercolour guitar landscapes interwoven with smooth winding fretless basslines. Voices sing the heart out in a strange and beautiful language. Unusual music with attitude.

Longital was formed in 2001 in Bratislava, the capital of Slovakia. The vibe of the city that is historically known as the crossroad of various cultures influenced the multi-genre sound of the band, blending song and experiment, electronics and acoustics. Longital is old name of the hill „Dlhe diely” above the river Danube where the band members reside. The band releases on its own label Slnko Records.

Longital are:

Shina Lo (Šina) - vocal and bass

Yatnolas (Salontay) - vocal, guitars, bow

Xi Di Nim - organic electronics: ambient sounds, loops & samples

+ occasionally : VJ Kufrik Brother - live visuals and animations

Concerts:

tours 2002-2005 : Slovakia, Czech republic, Poland, Ireland

Individual club gigs : UK - London (Cargo, Play, Spitz) / IE - Cork, Clonakilty / FIN - Turku / RU - Moscow, St. Petersburg/ HU - Budapest, Gyor, Szeged / Austria

Festivals : UK - The Big Chill (2005) / SK - Pohoda (2001-2005) / HU - Mediawave (2005)/ CZ - United Islands of Prague (2004), Eurotrialog Mikulov (2003) Colors of Ostrava (2003) ...

Longital shared stage with Moloko, Ralph Myerz, Tujiko Noriko, Lali Puna, The Levellers, Glen Hansard (The Frames), Tychonaut, Nina Hynes, Matt Lunson and others ...

Media coverage

live concerts for Slovak and Czech TVs and radios profiles on Deutschland Radio Berlin and Hessischer Rundfunk Radio 1 Frankfurt, Red FM Cork Ireland

Album reviews and articles in Rock&Pop (Cz), Liberation (F), Europe et liberte (F), Jazzthetik (D)

Recordings of Longital (previously also known as Dlhe diely) September (2001) - Šinadisk (2001) - Tu (2002) - Šina In Virgo (2003) - Sveta diely (2004)

Albums are available worldwide through Tamizdat distribution (New York - Prague), www.tamizdat.org

Contact:

Daniel Salontay

tel, fax + +421 2 6541 1717,

mobile + +421 905 784 561

email salontay@nextra.sk

Výprava / Voyage

Slnko records 2006

1. Je čas íst` (It`s Time To Go) 3:59
2. Výprava (Voyage) 5:36
3. Koneèene si letel (You Flew At Last) 4:23
4. Drzka (Bold Girl) 3:33
5. Modrý plyn (Blue Gas) 7:12
6. Semafóry (Traffic Lights) 6:33
7. Na mori (On the Sea) 11:09

Salontay: guitars, bow on guitar, slide, oud, dobro, el. sitar, vocal, drums-loops-samples

Shina Lo: vocal, bass

Xi-Di-Nim: Kitchen sounds, Irish sea, street noise, crickets, monks from Bali

Karel Herman: vocals, whistling

Anya from Moscow: djembe



Tu / Here

Slnko records 2002

1. Príchod (Arrival) 1:57
2. Zo dňa na deň (From Day To Day) 2:29
3. Zubami nechtami (With Teeth and nails) 5:05
4. Tu (Here) 3:14
5. Moruša (Mulberry Tree) 2:49
6. Jedného letca (Of One Pilot) 3:46
7. Hnedá hlina (Brown Clay) 5:54
8. Povedomá pesnička (Familiar Song) 1:57
9. Ginko (Ginko Tree) 3:58
10. Ako Dunaj (Like the Danube River) 2:51
11. Decko má šecko (The Child has Everything) 3:59
12. Odchod (Departure) 0:59

Daniel Salontay - guitars, oud, dobro, bow, vocal, sitar-like-guitar

Šina - vocal, bass

Marián Slávka - drums, Fender piano, trumpet

Mixed by Milan Tököly and Dlhé diely.

Sound: Milan Tököly. Produced by Dlhé diely

In Virgo

Slnko records 2003

- Občas (Sometimes) 3:40
- Uvožani (Release My Ropes) 4:16
- Lyžiariska (Ski Song) 3:35
- Dost` slov (Enough Ropes) 3:46
- Vlasy (Hair) 3:42
- Èo som (What I Am) 4:06
- Mojim izbám (To My Rooms) 3:37
- Veci (Things) 3:53
- Vtáky (Birds) 4:20
- Zbohom (Bye bye) 5:14

Šina - vocal, bass

Daniel Salontay - guitars, dobro, bow, baritone guitar

Jaroslav Ridzoò - loops and samples

Marián Slávka - drums, keyboards

Peter Lipa ml. - keyboards

Ajdži Sabo - percussions, keyboards, vocal

Martin Zajko - mandoline

Daniela Chlapiková, Sandra Sárkányová - vocals

Mixed by Milan Tököly, Salontay, Šina and Jaroslav Ridzoò (7). Sound: Milan Tököly. Produced

by Dlhé diely

„Chciałem mieć to w (niewygodnej) książce”

Z Tomaszem Majeranem założycielem wydawnictwa POMONA

rozmawia Kuba Mikurda

foto: Piotr Kaliński, Lokator 21.10.2006



Tomku, jak to było z „Pomoną”?

Pamiętam, że bardzo podobał mi się poemat Andrzeja Sosnowskiego „Oceany” (który potraktowałem, jak się okazało zupełnie niesłusznie, jako podwójną sestynę - Harry Mathews jakiś czas później zdemaskował „Oceany” jako „falszywą duodecykę”). Bardzo chciałem wydać ten poemat, chciałem, żeby to było w książce. Uznałem dość arbitralnie, że nakład, który ma szansę się rozejść, to 44 egzemplarze. Połowę nakładu ofiarowywałem autorowi, a drugą połowę zwykle rozprowadzałem wśród publiczności na spotkaniach autorskich. Egzemplarze były numerowane. Założyłem, że czytelników poezji w Polsce jest czterdziestu i czterech. I do dzisiaj nie zmieniłem zdania.

„Oceany” ukazały się dokładnie dziesięć lat temu, jesienią 1996 roku. Bardzo lubię tę książeczkę. Jak powszechnie wiadomo, „Oceany” zostały sprowokowane przez ogłoszenie prasowe wydawnictwa Kurpisz, które oprócz „Nowego Nurtu” wydawało także jakieś publikacje encyklopedyczne. I właśnie w jednym z numerów „Nowego Nurtu”, na ostatniej stronie, pojawiło się hasło reklamujące kolejny tom leksykonu geograficznego - „Odrębnie będą omówione oceany”. Podchwycił to Andrzej Sosnowski, „odrębnie będą omówione oceany” zamyka jego wiersz „Chodź”. Ale wywiązał się z obietnicy dopiero w poemacie, który otworzył serię „Pomony”. A zatem, raz jeszcze: po pierwsze chciałem mieć „Oceany” w książce, po drugie wycofywałem się wtedy z pisania krytyki literackiej. Byłem bardzo rozczarowany sytuacją, w której plotka z maglą funkcjonuje na takich samych prawach, co rzetelna analiza krytyczna. „Pomona” pozwoliła mi wypowiedzieć się krytycznie przez samo wydawanie książek. Prosty sygnał - jeśli coś wydaję, uważam, że jest dobre. Nie muszę tego komentować, udawać mądrzejszego od autora.

W jakiej technice powstały pierwsze książki?

Kilka pierwszych tomów „Pomony” to rękodzieło, ręcznie robione 44 egzemplarze. Zaczynałem od drukarki laserowej, więc było to poniekąd dość heroiczne przedsięwzięcie. Na przykład część egzemplarzy „Trenu X” Jana Kochanowskiego oparłem w karton z super-

marketu. Na drukarce laserowej wydrukowałem pierwsze dziewięć tomów „Pomony”. Pierwszą książką, która wyszła już z prawdziwej drukarni offsetowej, był Ikarus Darka Sośnickiego. Ukazał się w kilkuset egzemplarzach.

Pomysłów nie brakowało. Marcin Hamkało wydał w „Pomonie” tom „Limes”, czyli wiersz Jacka Podsiadło „Noc 144” („Norwid i Nerval, takie imiona nadałem tej nocy / swoim czarnym butom.”) - bezcennie zatytułowany „Noc 143”. W ten sposób sugerowaliśmy, że komuś śniło się to wcześniej. „Stare chłopcy prowadzą rowery na techno” Marcina Świetlickiego - w formie opakowania na płytę CD, z książeczką, okładką, ale bez samej płyty. W miejscu na płytę Marcin podpisał się korektorem do maszyny do pisania, na wszystkich 44 egzemplarzach. To było tuż po tym, kiedy wystartowały Świetliki, a Świetlicki pracował jeszcze jako korektor w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Namówiłem też Piotra Sommera do publikacji „Errat zebranych”, czyli zbioru samych sprostowań, poprawek, zmian, listów do redakcji, etc. Żeby było śmieszniej, do tej książki też wkrađa się jedna literówka!

Generalnie pomysł był taki, żeby robić książki intelektualnie i edytorsko niewygodne. To znaczy takie, które nie pozostawiają czytelnika obojętnym. A przynajmniej, żeby nie dały się ładnie ułożyć w równy szereg na półce. Stąd pomysły na różne dziwaczne formaty, jak u Sosnowskiego, Świetlickiego czy Macheja. Nie lubię książek, które można tak po prostu „odłożyć”. Największy sentyment mam chyba jednak do „Konwoju. Opery” Sosnowskiego. Jestem szczęśliwy, że ta książka pojawiła właśnie w „Pomonie”.

Dlaczego „Pomona”?

Od tytułu pantum Andrzeja Sosnowskiego „Pomona i Wertumnus”. To taki ukłon w stronę genialnego wiersza. Ale nazwa budzi same pozytywne skojarzenia. W końcu „Pomona” to także nimfa rzymska, ponieważ dość frywolna. Niektórzy biorą to za „Pomaton EMI”, inni za Przedsiębiorstwo Handlowo Usługowe „Pomona”, które produkuje całkiem niezły likier wiśniowy, jeszcze inni za rodzinne miasto Toma Waitsa w Kalifornii.

Planowałeś wydać określoną ilość tytułów?

Tak, 44. Cały czas wierzę, że mi się uda. Wydałem 16 i zbankrutowałem. Może, gdybym konsekwentnie utrzymywał nakład w wysokości 44 egzemplarzy, byłbym w stanie to udźwignąć. Jeśli powrót, do tego sympatycznego i chyba nieszkodliwego hobby, jakim jest wydawnictwo, w ogóle wchodzi w grę, to tylko w takiej właśnie skali. Gdybym to ciągnął tak, jak zaplanowałem, w rytmie czterech książek rocznie, byłbym teraz w okolicach czterdziestego tomu.

W „Pomonie” wydałeś też jedną swoją książkę, „Xięgę Przysłów”.

Tak, i o jedną za dużo. Zostało mi trochę nietypowego papieru po publikacji „Konwoju. Opery”. Xięga najpierw funkcjonowała w Internecie, była być może nawet pierwszą polską książką hipertekstową opublikowaną w Sieci (tak przynajmniej twierdzi Marta Mizuro, ja tego aż tak nie śledziłem). Wydałem ją jako tom 13, żeby ewentualne fatum spadło na mnie, a nie na któregoś z autorów. Ale żałuję, że ją wydałem. Powinna istnieć w tylko Sieci, bo to książka do klikania, a nie do czytania.

Piszesz coś teraz?

„Piszę rzadko i niechętnie, pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją, że dobre, a nie złe duchy mają we mnie instrument” (płacz na sali). Jak to się mówi w branży paparazzich - „nie mam parcia na fotę”. Mam trochę krótkich rzeczy, które może wydam za pięć albo piętnaście lat. Nie spieszy mi się. Jak napisał Piotr Sommer w wierszu „Wg Brechta” - „Skoro nasze wartości są ponadczasowe, to mogą sobie spokojnie poczekać”.

Mam wrażenie, że nasze życie literackie to w dużej mierze marketingowo nakręcana hucpa. Wiem, że łatwo to powiedzieć, ale tak naprawdę dopiero za pięćdziesiąt lat będziemy wiedzieć mniej więcej, czy warto było się tak bardzo jarać np. Świetlickim i Sosnowskim. Ja wierzę, że tak. Autorów, których wydawałem, wydawałem z pełnym przekonaniem, że warto się nimi jarać.

Rozmowę przeprowadzono w ramach Dni książki w Lokatorze, 20.10.2006, Kraków.



Jiří Surůvka

Zabić trzysta tysięcy indyków...

rozmawia: Igor Kędziński

Rozmowę z Jiřím Surůvką i Petrem Lysáčkem, ostrawskimi artystami kabaretowymi, happenenami i malarzami, oraz Pavlem Pernickým, wokalistą zespołu ilove69popgeju, przeprowadziłem 16 października 2006 roku w klubie Lokator, tuż po występie kabaretu Jiriego Surůvky „Powrót mistrzów zabawy”, któremu akompaniowali muzycy z ilove69popgeju. Zaprowadziłem moich rozmówców do ustronnej części klubu, gdzie panowała względna cisza, usadowiłem na wygodnych fotelach, po czym z wielkim trudem wyszarpałem z torby nieporęczny, stary magnetofon kasetowy marki Methodo z możliwością nagrywania, który sprezentowali mi kiedyś znajomi z Chorwacji, bo zagrał im mieszkanie. To pamiętające jeszcze przemówienia marszałka Tito, nieporęczne urządzenie wzbudziło żywe zaciekawienie Jiriego Surůvky, dając początek naszej dziwnej rozmowie, utopionej w gęstych kłębach dymu, siarczanych wyziewach alkoholu, brzęczeniu butelek, szczekaniu psa Emila i szumie taśmy magnetofonowej. Goście starali się mówić po polsku, zresztą z niezłym skutkiem, choć czasem w ferworze dysputy niepostrzeżenie przechodzili na czeski, co postawiło mnie przed dylematem: tłumaczyć

czy nie? Postanowiłem jednak zachować ich makaroniczny, polsko-czeski język w całej jego monstrualnej nieczystości, ze wszystkimi jeżącymi włos na głowie kreolskimi woltami i inteligentnymi sprośnościami, ponieważ właśnie w tym języku tkwi ich cały dadaistyczny czar, w jego gmatwaninie, potknięciach, nokautach i szemranym poliglotyzmie...

Jiří Surůvka: taki magnetofon miałem kiedyś w latach 70., ale był polski, na licencji Thompson, i miał takie dwa okręgle (pokrętła – IK), tzn. jeden bas i treble, a drugi był od głośności. To było moje marzenie, kiedy miałem trzynaście lat – bardzo chciałem go mieć, kosztował ze dwa tysiące, a dwa tysiące to była miesięczna pensja mojego ojca. No więc ojciec mi któregoś dnia mówi „nooo, jak będzie miał sukcesy w szkole i zgubniesz (schudniesz – IK) do wagi 60kg to ci ten magnetofon kupimy”. Tak się zaparłem, że nie jadłem przez dwa-trzy miesiące i straciłem na wadze tyle, ile powinienem, ważyłem wtedy około 59kg. Idę do ojca i mówię, „teraz mam 59, chodź popatrzeć, chodź popatrzeć”, on już wiedział że jest źle, stanąłem na wadze a on mówi „leeee, to nie jest tyle, to jest 60” a ja mu mówię „59”, no

i jak tak się tam denerwowałem, to naciskałem na tę wagę, bo się ruszałem, a wskazówka przesunęła się raz na 61 a raz na 59, a potem znowu 61 i 59, i ojciec wtedy mówi „aaa widzisz, wcale nie ma 59”, w tym momencie tak się kurwa wkurwiłem pierwszy raz na rodziców, że kurwa nie kupią mi tego magnetofonu, że nie mówiłem z nimi prawie dwa lata. I dopiero jak miałem jakieś 17 lat ojciec kupił mi kurwa w Jugosławii jakiegoś Telefunkena, taki elementarny magnetofon, od jakiegoś Austriaka, który tam mieszkał obok, a on mu ciągle opowiadał „syn wariat ciągle chce jakiś magnetofon, a u nas nie ma!”, oczywiście ciągle zwał wszystko na mnie, w końcu kupił od niego ten magnetofon i zainstalował go w mieszkaniu, w tym, no, livingroom, na środku, w tym jak to się...

Igor Kędziński: w salonie...

Petr Lysáček: najwięcej ważny punkt w całej prestrzeni...

JS: taki magnetofon kasetowy monofoniczny Telefunken, a ja mogłem z tego korzystać, owszem, ale nie mogłem go wziąć do swojego pokoju... kurwa, on tam żre szkło, nie?

Pavel Pernický (PP): wyżral celou pěnu (zżarł całą pianę – IK)...



foto: Piotr Kalinski, Lokator 17.10.2006



Petr Lysáček

JS: Emile, ty o-o-ożralo, no, má žižen (Emilu, ty p-p-pijaku, chce mu się pić). No, ale wracając do kwestii, to był początek mojego buntu, k-rwa, przeciwko wszystkim. Tak na marginesie, jest taka książka Aloisa Jiráska „Przeciwko wszystkim” o czeskich husytach, którzy młócili katolików. Jakiś bunt w tych Czechach jest po prostu zakodowany, ale jest to bunt z powodów elementarnych, bazowych, to znaczy, że jak zabiorą kulturę, to Czech siedzi na dupie i nic nie robi, ale dopiero jak mu zabiorą kiełbasę, żarcie, zakwaterowanie, to dopiero Czech zaczyna się ruszać, bo została jakby naruszona jego podstawa...

PL: wtedy wyciąga klucze...

JS: i zaczyna nimi chrastit (dzwonić)...

JS: tak tak, to dużo mówi o mentalności narodu czeskiego... w pewnym sensie jest on bardzo podobny do Anglików, mam na myśli typ humoru, Anglia to było duże imperium, gdzie wszyscy musieli obowiązkowo ukończyć studia na Sandhurście, żeby mogli zostać oficerami, potem wysyłano ich do Indii, a tam musieli, kurwa, zabić trzysta tysięcy indyków...

PP: Hindusów...

JS: właśnie, Hindusów...

JS: indyk to chyba tetřev (cietrzew), prawda?

PL: wyobraź sobie, że w ramach pracy dyplomowej musisz zabić trzysta tysięcy indyków...

JS: i potem dopiero dostawali tytuł Sir i mieli jakoś tam ustawione życie w Anglii, bez tego nie było mowy o jakimkolwiek prestiżu. Dlatego też pewne nadszcienie ogólnospołeczne wywołało tam taki sam rodzaj humoru jak u nas, bo ja na przykład bardzo sympatyzuję z poetyką Monthy Pythona, Benny Hilla, brytyjskie poczucie humoru w ogóle bardzo współgra z czeskim poczuciem humoru, choć wydaje mi się, że polskie poczucie humoru też jest bardzo bliskie brytyjskiemu. Swoją drogą to ciekawe, że istnieją wpływy, np. na seriozną sztukę (sztukę poważną), weźmy choćby czeską, która była pod wielkim wpływem sztuki francuskiej, surrealizmu czy kubizmu. Ciekawe jest to, że w Czechach nie było prawie w ogóle wpływu niemieckiego ekspresjonizmu, a w Polsce jest on bardzo znany, dla mnie wielkim artystą polskim był...

PL: Witkacy?

JS: tak, Witkacy, mam wszystkie jego książki, na przykład te portrety pod wpływem, co on brał, jakąś heroinę...

PL: opium...

JS: nie ważne, w każdym razie dla mnie to był totalny awangardowiec. Dopiero w latach osiemdziesiątych, jak na scenę zaczęła wchodzić druga

generacja niemieckiego ekspresjonizmu, tzw. Neue Wilde, to dopiero wtedy w Czechach się tym zainteresowano, bo panowały u nas wówczas podobne nastroje, Francja już była passe, w latach osiemdziesiątych z Francji nic nowego nie przychodziło, wszystko tam było zakonserwowane, taki jakby supermarket dla turystów, za wielką sztukę uważano impresjonizm i postimpresjonizm i tyle, a w tym czasie niemiecka scena stała się bardzo ważna, zwłaszcza dla nas, bo u nas socjalistický realismus (sozializm) był, sztukę traktowano jako coś totalnie poważnego, nie wszyscy mogli się nią zajmować, tylko ci, którzy byli wybierani już we wczesnym wieku, trochę jak w tej nacjonalistycznej teorii...

IK: eugenicie...

JS: jasne, eugenicie, komuniści chcieli „wyeugenicować” artystę począwszy od wieku dwóch lat...

IK: jak kulturystę w Związku Radzieckim...

JS: tak, żeby zrobić z niego dobrego artystę...

IK: To zabawne, że ja mówię po czesku, a Jiří po polsku, nie? (w trakcie całego wywiadu stawiałem pytania w jęz. czeskim - IK)

JS: śmieszne, nie? zawsze jak gdzieś wyjeżdżam, to po chwili wchłaniam miejscowy język, formę, próbuję różnych sposobów, żeby powiedzieć to co chcę w sposób „najpregnantniejszy” (najplodniejszy). Na przykład kiedy jeżdżę do Rosji. Kiedyś wszyscy uczyliśmy się rosyjskiego, i to jakieś dobre jedenaście lat, ale nie uważam, że bym dobrze mluvil (mówił) po rosyjsku, nie miałem praktyki, nikt z nas nie chciał rozmawiać z okupantami, wojsko było przecież rosyjskie. No bo też i o czym masz z nimi gadać, „chodź do dupy ty kretenie!” albo „co tu kurwa robisz?!”), jedynie takie podstawowe zwroty, he he. Tak, ale niezależnie od tego uwielbiałem literaturę rosyjską, to wielka literatura, która w Europie zawsze była traktowana poważnie i miała ogromne znaczenie, monumentalne, choć ja uwielbiałem raczej tych pomniejszych pisarzy, na przykład Chlebnikowa czy Charmsa, ponieważ to jest sztuka nonsensu, która konwenuje (współgra) z duchem Europy Środkowej. Kawały lingwistyczne i zabawa ze znaczeniem, to dla mnie podstawa. Weźmy Christiana Morgensterna, to jest sztuka pięknego nonsensu, do której ja też dążę. Aby powiedzieć A musisz wyjść z B, z przeciwkoładu (przeciwieństwa), i znieważyc to A. Dla przykładu zaakceptuję całą tę natrętną doktrynę, która mówi „bądź grzecznym człowiekiem, rób to i to”, ale zaakceptuję ją tylko na oko, na niby, zobaczcie, oto jestem grzecznym człowiekiem, robię to i to, i nagle okazuje się, że wyglądam jak

zupełny idiota, to podstawa mojego działania, zresztą tak też chyba zachowywał się Szwejk: jeśli Austria chce żeby cedił (przelewał) za cesarza pana krew, to on będzie ją cedił, wsiądzie na ten swój wózek, pojedzie i będzie się wydzierał, nawołując wszystkich do walki za cesarza pana, to jest ta właściwa postawa. Coś co jest chujowiną pokazać w sposób totalnie ekstremalny, tak żeby wszyscy, którzy do tej pory przytakiwali systemowi i jednocześnie się od niego dystansowali, nie mogli, nie mieli innego wyjścia jak przyznać, że jest bzdura, przymusić ich do tego pokazując „patrzcie, ja jestem ultranormalny, robię wszystko co mam robić, no i proszę, wygląda to tak, jakbym był totalnym idiotą”, ta metoda pozwala odsłonić obecność systemu, który potem jest już nie do utrzymania, kanon upada, upada, upada, wszyscy na niego plują, staje się po prostu niemożliwy, wszyscy widzą, że to wołowina (bzdura). Z tego rodzi się chaos, tak jak w przypadku różnych epok, dajmy na to renesansu – kiedy się kończy, wówczas nastaje epoka dekadencji i manieryzmu, myślę, że teraz kończy się właśnie epoka manieryzmu, postmodernizmu, który wykorzystał wszystko to, co było przed nim i wytworzył vacuum. Wszystko już znamy i widzieliśmy, elektronika dostarcza nam wszystkiego, czego tylko chcemy, informacje otrzymujemy w błyskawicznym tempie, traktujemy to co robimy...

PL: tak, ale chodzi o to, że to za mało, ponieważ nie tylko znamy i widzieliśmy wszystko, ale widzieliśmy to po pięć razy i znów po pięć razy, zwłaszcza w mediach, nikomu się nie chce pokazywać czegoś nowego, bo to jest w obecnym systemie komunikacji nazbyt ryzykowne. Dlatego lepiej jest niszczyć niż przyswajać, mam na myśli instytucje czy system, niestety większość uważa, że lepiej po raz szósty, po raz siódmy konsumować to samo, mimo że wszyscy wiedzą, że istnieje coś poza centrum, gdzieś na marginesie, tylko boją się zbliżyć do granicy...

JS: to jest pytanie przede wszystkim do Pavla, bo my jesteśmy jeszcze generacją, która połowę życia spędziła w komunizmie, możemy porównywać co było wtedy a co jest teraz, ale Pavel urodził się w '85 roku, pod koniec komunizmu...

PP: miałem tylko cztery lata jak to się skończyło, nie pamiętam nic...

JS: nic, hmmm, to znaczy, że nie pamiętasz kurwa tych kretynów, ale pamiętasz feedback, bo w tym feedbacku żyjesz. My myśleliśmy, że jak się skończy komuna to od razu będzie heaven, ale okazało się, że to totalna wołowina (głupota), bo ten feedback ciągle trwa, bo generacja która ma dzisiaj 55-60 lat, spędziła całe życie w komunizmie i ciągle przeciąga mechanizmy z tego syfu do nowej epoki. My, tzn. ja i Petr, mamy wprawdzie po czterdzieści lat, ale ciągle pozostajemy wraz z dwudziestolatkami w jakimś undergroundzie, ciągle nie możemy powiedzieć tego, co chcemy, nie mamy nic do powiedzenia w swoim własnym mieście, nie ma nas w żadnej komisji, nikt się nas o nic nie pyta. Petr i ja byliśmy w komisji grantowej ministerstwa kultury w Pradze, tam jesteśmy uznanymi artystami, ale w Ostrawie ciągle jesteśmy tylko chuliganami, to okropne, że nas tam traktują jak idiotów, zresztą nie tylko nas ale ich (tzn. Pavla i pokolenie dwudziestolatków - IK) też, nie...

PL: jest jeszcze kwestia akceptacji i zrozumienia profesji, którą zwie się sztuką współczesną, większość ludzi w mieście nie widzi w jej uprawianiu ani celu ani sensu, pytają „po co to robić, skoro to nie przynosi pieniędzy?”...

JS: nie spotkałem w Ostrawie kuratora czy historyka sztuki, który zajmowałby się sztuką współczesną, wszystko musieliśmy zrobić sami, dlatego wyprofilowaliśmy się jakoś w ciągu tych 15 lat i piszemy swoje recenzje, robimy swój kabaret, a to wszystko jest samoobroną, bo, jak to się mówi, jesteśmy artystami-plastikami i musimy się bronić...

JS: mě napáda (myšle sobie), wszystko sam sobie zrób, jak chcesz, żeby coś bylo, to zrób to, bo nikt inny za ciebie tego nie zrobi, nikt inny! jak ci się nie podoba, że nie ma magazynu o sztuce, to zrób magazyn o sztuce, jak nie ma kuratorów sztuki, to bądź kuratorem sztuki, a że nie masz kwalifikacji, to chuj z kwalifikacjami, masz poczucie tego, co jest dobre, co trzeba zrobić, więc to zrób. W Ostrawie nie ma kuratorów, którzy byliby w stanie czemukolwiek się przeciwstawić, nie ma opozycji, można robić co się chce, i funguje to (to działa), to jest, jakby to powiedziec, podwójna wygoda i niewygoda, nie ma wprawdzie instytucji, ale za to można zrobić wszystko i zwykle się to udaje, ale z drugiej strony to okropna robota...

[tu rozmowcy przechodzą bezpowrotnie na swój język ojczysty – IK]

PL:zkus tu linku natáhnout zase zpátky do svého dětství, tímto jsme rozhovor začali a tím ho ukončíme...

JS: já jsem maloměstácké děcko. Rodiče se měli poměrně dobře, protože byli konformní, takže v tom klimátu jsem nemohl existovat svobodně. Šlo mi o to, abych byl nezávislý, abych si mohl dělat co chci, jako ten pes tady, ten Emil, který přesně takhle žije. On je rád že existuje, skáče na všechny a nikoho v životě nekousl, protože každý je jeho přítel, ale on nejdřív pošteká a pak se s ním skamarádí – o to mi šlo. Upozornit na to, že tady jsem, poštekát někoho s kým přijdu do kontaktu, a říct „ale nemám proti tobě žádné špatné úmysly, žiju si tady sám“, a to je nejdůležitější... on Petr zase bydlel v Ostravě-Porubě a já jsem bydlel v Hrabůvce, což bylo něco jako Nowa Huta dvě...

PL: taková mini Nowa Huta. Když jsem tehdy v dětství k Jiřimu jel, a on třeba nebyl doma, tak jsem čekal na tom dvorku, a byli tam vrstevníci, měli 8-10 let a řvali na mě „co tady chceš s tou svoji pochcanou slámou na hlavě?“. Otravovali mě a udělali si ze mně strandu, teď mluvím o tom, že to spřiznění a přátelství, nebo teda i souznění, v dospělosti je pak pořád vystavováno...

JS: tomu odporu okolí...

PL: jistěmu znevázení a znehodnocení, což je velmi inspirativní zdroj. Inspirativní zdroj, jakým způsobem řešit – možná že úplně platonicky, možná že se nám to nikdy nepovede – život v Ostravě. Ale zase na druhé straně, když to člověk dělá, a dostává jistý symptomy toho, že to opravdu zabírá, tak to zabezpečuje v tom, že jinak to nejde...

JS: Petře, satisfakci ti poskytne to, že všichni ti vrstevníci se nám tehda sice smáli, ale když já chodím teď na ty srázy ze základní školy po třiceti letech, tak říkají „jeé, ty se máš! Tys to vyhrál. Ty žiješ jenom ze zábavy a já musím pracovat. Že ty nemusíš nic dělat. Já mám dvě děcka, já musím chodit na třisměnný provoz do hutě“, a já říkám „já taky chodil, ale já jsem to nemohl vydržet“, a oni „ale tys to dokázal, víš, a já jsem to nedokázal, já jsem u toho zůstal, já jsem blbej!“. A oni si toho váží, že tě znají a že ty jsi šel jinou cestou než voni, a já si zase vážím jejich cesty. Jsou to slušní lidé, mají svoje zájmy, na tom srázu jsem s radostí s nima komunikoval. O to horší jsou setkání s elitou toho místa, kde žiju, zjišťuju, že ta elita to jsou hochštapleři, darebáci, lumpové, veksláci, ta největší sebranka, která může být!!! Naprosté nuly. Normální lidé si tě váží, a tihleti zmrdci tě nenávidí. A to je mechanismus, který je jako boj dobra a zla v tom světě a nesmíme to vzdávat...

PL: možná právě proto v našem kabaretu je ta humorná forma, která je nakonec samozřejmě atak, ale je to taky nabídka určitého systému...

JS: my se rádi stylizujem do toho, co je špatné. Protože to je dobře, he he!!! Ale podařila se nám



foto: Piotr Kaliniski, Lokator 17.10.2006

ilove69popgeju

jedna věc, že Praha akceptuje Ostravu jako svébytné centrum kultury a když je nějaká výstava českého umění, tak vždycky tam někdo z Ostravy figuruje. Ze uz to není jenom: pražské umění rovná se české umění, což je třeba v Polsku dávno běžné, že ne Varšava ale Poznaň, Wrocław, Krakov... Protože to je velký stát a jinak by to ani nešlo, kdežto u nás to bylo mnohým horší... Bohůžel ale v regionu samém se nám toho podařilo méně, což je škoda a mrzí mě to. Neodstěhoval jsem se, protože každý umělec má ambici trochu změnit ten svět kolem sebe, jakýmkoliv způsobem, tvorbou nebo jinou činností, je to ten Gesamtkunstwerk, nejde jenom o umění, ale vůbec o činnost umělce, vystupování, to co on dělá, to je to umění, ne jonom to, co namaluje na obraz. Jaké má názory, jak vystupuje, jaké má vztahy s okolí. Umění musí mít vliv na svět kolem, jinak nemá šanci...

PL: je strašně vysilující dělat o třeba deset let, je na čase předat štafetu, vychovat si lidi, zřítit instituce, třeba fakultu nebo kunsthau, městskou galerii, protože Ostrava je třetí největší město v České republice a pořád nemá svoji městskou galerii, a když se to povede, tak přijdou jiní, hlavně po lince střední škola – vysoká škola, a ti to pak budou naplňovat dál...

JS: v podstatě jde o to, že oni hrabou na stejnou zeď jako my, a musí se poučit z našich nezdarů. Já jsem jako regionální umělec v pěti procentech dělal svoje věci a v 40 procentech jsem tlačil tu situaci a pak v 50 procentech jsem se snažil uživit. To jsem bral všechno, cokoliv, jen abych vydělal peníze, abych přežil. 10 let jsem byl na volné noze, to jsme byli dva nebo tři v Ostravě vod roku 90. Až potom, co jsem vystavoval na biennale v Benátkách, dali mi v Ostravě post. Petr byl šéf katedry, nabídl mi práci a voni nebyli proti. To bylo vono. Ne, žeby voni mi nabídli, ale Petr mi nabídl. A už nenarazil, protože kdyžby mi to nabídl dřív, tak by se mu vysmáli, „co ten huligán, Surůvka, kurva tady chce!“... rozumíš, oni vlastně pohrdají vlastním vzděláním. Oni učí na škole, na lokální univerzitě a pohrdají tím, co učí, pohrdají svými absolventy. Pro ně když někdo přijde odjinud, je rázem mnohem lepší, čímž si serou do vlastního hnízda, to je neuvěřitelné! Mentalita pedagogů na ostravské univerzitě, je velmi, velmi lokální, přežili tam všichni ti hajzlové z komunismu, a transformovali se do jiných podob: marxisté teď učí pedagogický doplňkový vzdělání a ruštinářka učí angličtinu, je děkankou Pedagogické fakulty, navíc udala Petra Hrušku, že je jako protirežimní člověk. Ale na mě taky donášeli z ka-

tedry češtiny, z katedry výtvarné výchovy. Škoda o tom mluvit, stejně prostě nemůžeš je všechny postřílet... V tom mě fascinovala ruská revoluce, že tam se dohodli, že zabijou své nepřítel a vytvoří nový svět. Ale jak bylo vidno, začali se zabíjet taky mezi sebou, přesně tak jako během francouzské revoluce. Jakmile začneš být radikální a chceš to uspíšit tím, že celý ten sajrajt vybijíš, tak se dostaneš do sajrajtu ještě horšího...

IK: ještě jedná otázka, jezdíte často do Polska, jezdí někdo z Polska k vám?

Všichni: Jasně!!!

JS: já už v roce 84 jsem byl na brigádě v Katoivicích, a tam jsem tři týdny permanentně pařil a nadělal si desítky kamarádů, kteří za mnou jezdili do Ostravy...

PL: naposledy to byla skupina Poláků z Azorro, pak Arsenal z Białého Stoku, a ještě umělci z Wrocław...

JS: musím přiznat, že kdybych to měl brát jako fotbalovej výsledek, jako Polsko-Česko, tak by to bylo 9 ku třem ve prospěch Polska... *

Rozmawiał Igor Kędzierski

* Tekst jest bezpośrednim zapisem wypowiedzi artystów.

1. Emil to pies który brał również udział w rozmowie.



Czeskie Rozmowy

27.11.2006 (poniedziałek), g. 19.00

Rozmowę z Mariuszem Szczygłem - dziennikarzem, wykładowcą, bohemistą, autorem „Gottlandu” (zbiór reportaży z Czech) poprowadzi Igor Kędzierski.

Aktorka Lída Baarová, artysta rzeźbiarz Otokar Szvec - nieznanzy twórca pomnika Stalina, piosenkarka Marta Kubiszowa (ze słynnego piosenkarzkiego trio „Golden Kids”), legendarny producent obuwiu Tomáš Bata, pisarz Eduard Kirchberger, który wskutek historycznych zawirowań przeistacza się w Karela Fabiána i wielu innych - poprzez ich barwne życiorysy Mariusz Szczygł opowiada o czasach, w jakich przyszło im (i nam) żyć. Opowiada o paradoksach i absurdach powszedniego życia, o tragicznym splocie przypadku i przeznaczenia, kształtującym życie całych pokoleń...

współpraca: CZESKIE CENTRUM, Wydawnictwo CZARNE, UNIWERSYTET JAGIEŁOŃSKI KATEDRA BOHEMISTYKI
sponsor: www.KLUBWINA.pl;
media: www.RADIOART.pl;

DKFLokator

Niezależni twórcy kina amerykańskiego
listopad - grudzień 2006
prowadzenie Marta Ambrosiewicz

8.11.2006 (środa), g. 19.00
 Tod Solondz - „Witajcie w domu dla lalek”. (Welcome to the Dollhouse 1995).
15.11.2006 (środa), g. 19.00
 John Waters - „Beksa” (Cry-baby, 1990).
22.11.2006 (środa), g. 19.00
 Abel Ferrara - „Chinka” (China Girl, 1987).
29.11.2006 (środa), g. 19.00
 Robert Gordon - „To przybyło z głębin morza”. (1955).

06.12.2006 (środa), g. 19.00
 Tim Burton - „Vincent” (Vincent, 1982)
 Henry Selick, scen. Tim Burton - „Miasteczko Halloween” (Tim Burton's Nightmare before Christmas, 1993).
13.12.2006 (środa), g. 19.00
 Roger Corman - „Zagłada domu Usherów” (House of Usher, 1960)
Projekcje rozpoczynają się punktualnie
Wstęp wolny na wszystkie projekcje
Miejsc siedzących 26 + 4 dostawki

Animacja - Poklatkowy Kraków w Norymberdze

Paradoksem jest, że na początku XXI wieku, mówiąc o przyszłości kina coraz częściej przywołuje się wizje pioniera myśli filmowej – Karola Lżykowskiego. W ogłoszonej przed niemal stuleciem „X Muzie” prorokował on, że przyszłość kina należy do filmów animowanych. Powód – jedyne, co ogranicza autorów animacji, to ich wyobraźnia i talent. Kraków zawsze miał szczęście do artystów, którzy nie mogli narzekać na brak jednego i drugiego. Dlatego też doczekał się takich sław animacji jak Ryszard Czekala, Jerzy Kucia, Julian Antoniszczak, Aleksander Sroczyński... Nagradzane na festiwalach filmy tych reżyserów uczyniły z Krakowa ważny punkt na mapie światowej animacji. Miejscem,

które od 40 lat skupia krakowskich artystów, pragnących ożywić własne wizje, jest Pracownia Filmu Animowanego Akademii Sztuk Pięknych. Jednostka kierowana przez prof. Jerzego Kucię jest obecnie prawdopodobnie najlepszą uczelnią kształcąca twórców animacji w Polsce. Świadczą o tym chociażby nagrody dla jej studentów i absolwentów przyznawane na festiwalach poświęconych animacji filmowej. Animacje z Pracowni Filmu Animowanego łączą wyjątkową dbałość o stronę plastyczną filmu. Autorzy, często absolwenci Wydziałów Malarstwa, Grafiki i Rzeźby ASP, uczą się sztuki filmowej już jako ukształtowani artyści. Dlatego ich filmy, realizowane pod kierunkiem prof. Kuci, mają swój

indywidualny charakter pisma. Piętno opiekuna można natomiast zauważyć w sposobie prowadzenia narracji, często opartej na luźnych skojarzeniach i refleksach pamięci, podbudowanej głębszą myślą socjologiczną lub psychologiczną. Niezmiernie rzadko studenci Pracowni chcą swoimi animacjami zabawić widza anegdotą. Niemal zawsze zmuszają do myślenia. Na prezentowaną retrospektywę składają się filmy studentów krakowskiej ASP zrealizowane w ostatnich latach. Przy wyborze tytułów starano się odzwierciedlić różnorodność technik, jakimi posługują się krakowscy twórcy. Dlatego zobaczymy animacje klasyczne i komputerowe, opowieści malowane wprost pod kamerą – na szybie i płó-

nie, kolaże rysunku i żywego planu, wycinanki. Krakowskie animacje to także różnorodność prezentowanych tematów i problemów. Nostalgiczne opowieści o przemijaniu i samotności przeplatają się z zajadłą krytyką konsumpcjonizmu. Subtelne filmy o miłości kontrastują z ponurymi wizjami przyszłości. Autorzy próbują filmowej psychoanalizy i „grają w szachy” ze wspomnieniami. Wysmakowane plastycznie efekty benedyktyńskich zmagarów twórców z trudnymi technikami animacji oraz własną wyobraźnią zobaczymy na prezentowanym pokazie.

Dom Krakowski, Norymberga
11.11.2006 (sobota), g.20.00
prowadzenie: Mariusz Frukacz

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



Katarzyna Agopsowicz - „Jutro”



Marta Pajek - „Za ścianą”



Joanna Rusinek - „Tum”



Paweł Weremiuk - „Kartki”

Next Generation 2006

Najmłodsze kino niemieckie, filmy krótkometrażowe

Na polu / Auf dem Feld
 Niemcy 2005, 10 min – reżyseria: Philipp Wolf - zdjęcia: Julian Atanassov – scenariusz: Elke Sudmann – producenci: Senta Menger – produkcja i światowa dystrybucja: Niemiecka Akademia filmowo-telewizyjna w Berlinie – obsada: Wanja Malik, Sebastian Kinder, Philip Jahn, Evi Riecken

Dostawa / Delivery
 Niemcy 2005, 9 min – reżyseria/scenariusz/zdjęcia/animacja: Till Nowak – muzyka: Andreas Hornschuh, Matthias Hornschuh – produkcja i światowa dystrybucja: frameboX/Moguncja, Wyższa Szkoła Zawodowa, Moguncja/ Institut für Mediengestaltung

Duch z St. Pauli / Der Geist von St. Pauli
 Niemcy 2005, 7 min 30 sec. – reżyseria: Michael Sommer – scenariusz: Vivien Hoppe – zdjęcia: Betina Herzner – producent: Florian Gess – produkcja i światowa dystrybucja: Hamburg Media

School / Hamburg – obsada: Henning Peker, Jochen Bumert, Frank Wiczorek

Bazar
 Niemcy 2005, 3 min 9 sek. – reżyseria/scenariusz: Markus Sehr, Mathias Kraemer – zdjęcia: Ernst Kubitz – producent: Elke Keck – produkcja i światowa dystrybucja: Bavaria Film / Monachium – obsada: Michael Jaeger, Doreen Dietel, Hakan Can, Klaus Stigmeier

Nasz człowiek w Nirwanie / Our Man in Nirvana
 Niemcy 2006, 11 min. – reżyseria/scenariusz/zdjęcia/animacja: Jan Koester – producenci: Holger Lochau, Ole Nicolaisen – produkcja i światowa dystrybucja: Wyższa Szkoła Filmowa i Telewizyjna Konrada Wolfa (HFF/B), Poczdam-Babelsberg

Dom / Heim
 Niemcy 2005, 6 min – reżyseria: Marc Brummund – scenariusz: Christina Tollner – zdjęcia: Thomas Vollmar – pro-

ducent: Katharina Dufner – produkcja i światowa dystrybucja: Hamburg Media School / Hamburg – obsada: Hannes Stelzer, Katinka Auberger, Ulrich Gall, Moritz Gall, Ortrud Spahlinger

Moja randka w piekle / My date from Hell
 Niemcy 2006, 14 min – reżyseria/zdjęcia: Tim Weimann, Tom Bracht – scenariusz: Tim Weimann – animacja: Tim Weimann, Tom Bracht, Patrick Wachowiak – producenci: Manuel Bickenbach, Tim Weimann – produkcja i światowa dystrybucja: Akademia Filmowa Baden-Württemberg/Ludwigsburg – bohaterom głosu użyczyli: Donald Arthur, Tom Zahner, Tracey Grey, Susan Tackenberg, Caryn Stringer

Zimna skóra / Kalte Haut
 Niemcy 2005, 15 min – reżyseria/scenariusz: Sebastian Kutzli – zdjęcia: Stephan Vorbrugg – producenci: Tobias N. Siebert, Sebastian Kutzli – produkcja i światowa dystrybucja: Wyższa Szkoła Filmowa i Telewizyjna w Monachium (HFF/M) – obsada: Lima Ben-Jannet, Dorothea Koniszewski, Claudia Neumueller, Cindy Wenzel

Popołudniowa promenada / Promenade d'apres midi
 Niemcy 2005, 2 min 35 sek. – reżyseria/scenariusz/zdjęcia/producent: Claire Walka – produkcja i światowa dystrybucja: Wyższa Szkoła Projektowania/ Offenbach – obsada: Astrid Rieger

Ratuję Multiversum / Ich rette das Multiversum
 Niemcy 2005, 11 min – reżyseria/producent/scenariusz: Ulf Groote – zdjęcia: Florian Michaelson – produkcja i światowa dystrybucja: Akademia Sztuk Pięknych/Hamburg – obsada: Andreas Vogler, Markus Graf, Liane Siems, Nikola Lenk

Organizacja:
German Film Service + Marketing GmbH
Dom Norymberski

Sponsorzy filmów
w cyklu Next Generation:
Kodak
Sonopress

4. Tydzień Filmu Niemieckiego
Pokaz specjalny
3.11.2006, godz. 20.00
Dom Norymberski / Klub Lokator,
Kraków ul. Krakowska 27